840. 24 h.

BIBLIOTEKA POWSZECHNA

Eugeniusz Czirikow.

ZA PORĘKĄ

z oryginału rozyjskiego tłómaczył

Stanisław Zdziarski

Każdy tomik można osobno nabyć

Nakładem i drukiem księgarni
WILHELMA ZUKERKANDLA

W ZŁOCZOWIE.

NA SKŁADZIE
w każdej księgarni.

1645/39

UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI

318231

EUGENIUSZ CZIRIKOW

ZA PORĘKĄ

Z ORYGINAŁU ROSYJSKIEGO

TŁÓMACZYŁ

STANISŁAW ZDZIARSKI

LWÓW — ZŁOCZÓW
Nakładem i drukiem księgarni Wilhelma Zukerkandla.

A.29564

1000174533

Lot 136

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

K, 1645/60/39

I.

Marya Tymofiejewna chadzała każdego wieczora na stacyę kolei żelaznej do pociągu osobowego. Pociąg zawsze podjeżdżał ku platformie drewnianej jakoś nieoczekiwanie dla Maryi Tymofiejewny i zawsze zastawał ją pomieszaną, pogrążoną w myślach o tem, co się tam stało z Kolą i co będzie teraz? . . . Dźwięk dzwonu sygnałowego i szum pary przebudzały ją, zagłębioną w tych myślach, i ona rzucała się na oślep na platformę, kręciła się od wagonu do wagonu, w poszukiwaniu Koli. Gorączkowo przeglądała gromadzący się na platformie tłum, zaglądała w okna wagonów, — a serce jej uderzało żywiej każdym razem, ilekroć nawinęły się przed oczy złote guziki lub czapka z niebieskiem lamowaniem.

Tak było już parę dni: pociąg podchodził ku stacyi, wyrzucał maleńką garstkę szarych ludzi, spiesznie odpowiadał dzwonowi stacyjnemu przeraźliwym gwizdem i ulatał w dal, zostawiając po sobie smugi rozerwanej szarfy siwego dymu. Jednego razu przyjechał miejscowy sprawnik,

na którego spotkanie wyszła żona z gromadą dzieci; innym razem przyjechała żona lekarza i przełożony klasztoru męskiego, O. Porfiry . . . A Kola nie przyjeżdżał . . . »Cóż to ma znaczyć? Ach, dzieci, dzieci!« Marya Tymofiejewna na prędce ocierała łzy z oczu i wodziła dalej wzrokiem po platformie. Nie dowierzając sobie, zapytywała chłopa w fartuchu, z białą blachą na piersiach:

— Dokąd teraz ten pociąg pojechał?

— Do Moskwy, babciu, do białokamiennej, babciu! — żartobliwie odpowiadał chłop, oczyszczając miotłą zaśmieconą platformę.

— A czy przyszedł on z Kijowa?

— Z Kijowa, z Kijowa, — już gniewnie mówił chłop.

Marya Tymofiejewna patrzyła w tę stronę, w której, według jej rachuby, powinien był leżeć Kijów, — i twarz staruszki składała się do bolesnego uśmiechu, lecz łaskawego dla tego, że tam, daleko, daleko, w mgłach następującego zmroku wieczorem wiosennym, wstawał przed nią drogi obraz smukłego młodzieńca w mundurze studenckim.

— Hej! staruszko! ustąp się trochę na bok! — powiada chłop z blachą, dotykając miotłą nóg Maryi Tymofiejewnej.

Ona odrywała się od Kijowa, obraz smukłego młodzieńca znikał i, wzdychając, Marya Ty-

mofiejewna odchodziła, pełna trwogi, bezradna i roztargniona, podobna teraz istotnie do jednej z tych bożych staruszek, które każdy uważa się w prawie nazywać »babcią.« Początkowo szła powoli, a potem spieszyła się: za każdym razem zjawiała się u niej nadzieja, że, być może, niedopatrzyła Koli i, powróciwszy, znajdzie go w domu... Zaczęła źle widzieć, a w natłoku czyliż trudno prześlepić? Trzeba nosić okulary... Im bliżej podchodziła Marya Tymofiejewna ku domowi, tem prawdopodobniejszą stawała się nadzieja zastania tam Koli, i ona z bijącem sercem wchodziła przez furtkę maleńkiego, tonącego w zieleni domku, równie starego, jak Marya Tymofiejewna. Z pewnością Kola siedzi, a ojciec łaje go... Cóż już tu łajać! Nie wróci się. Byleby tylko był zdrów. Nie wszyscy kończą uniwersytet, a żyją sobie... Z trwogą Marya Tymofiejewna brała za zasuwkę furtki, trwożnie wstępowała po stopniach i z zapartym oddechem otwierała drzwi do pokoju...

Nie! nie przyjechał!

Mąż chodził po pokoju w wydeptanych pantoflach, gniewnie pokaszliwał, starając się ukryć swoje wzburzenie, — i, kiedy w drzwiach pojawiała się sama Marya Tymofiejewna, bez Koli — odwracał się i mruczał:

— I niema co wychodzić naprzeciwko!...

Potem zwracał się do staruszki, rozkładał rękoma i dodawał:

— I naturalnie!

Następowało długotrwałe milczenie. Na duszy obojgu było ciężko, oboje myśleli o jednem i tem samem, oboje byli gotowi rozpłakać się, ale wstrzymywali się i milczeli uporczywie, — a od tego milczenia robiło się w pokojach smutnie i duszno. Wielki zegar ścienny przeciągle stukał wahadłem i, zdawało się, powtarzał frazes Stefana Nikiforowicza:

Niema co czekać! niema co czekać!...

I staruszkom wyobrażały się wszelkie niebezpieczeństwa.

Czasami przychodził do nich miejscowy poborca podatkowy Ardalion Michajłowicz. Był to największy przyjaciel Stefana Nikiforowicza. Ardalion Michajłowicz opowiadał im, że jest jakaś twierdza, gdzie sadzają takich ludzi: maleńkie okienka w górze, a w ścianie są drzwiczki, przez które, jeśli się je otworzy, w tej chwili bucha woda — i wszystko skończone!...

Sam czytałem — mówił Ardaljon Michajłowicz. — A nawet widziałem obrazek: stoi na łóżku panna z takich, a przez drzwiczki bucha woda...

— Panie Boże mój! — szeptała Marya Tymofiejewna i w oczach jej drżały łzy.

— Wieszają także często, — dodawał zadumany Ardalion Michajłowicz. — Zdarza się, oczywiście, że także wypuszczają, ale to bardzo

rzadko, — dodawał, pragnąc pocieszyć staruszków. — Konieczną jest skrucha... Czytałem w »Russkiej Starinie« o tych... jak im na imię?... dekabrystach...

I Ardaljon Michajłowicz opowiadał to, co czytał, przyczem wiele fantazyował, mięszał »Russką Starinę« z rozmaitymi romansami historycznymi, wyczytanymi z »Niwy,« i sprowadzał na staruszków taki strach, że czasami całą noc nie spali, przewracali się i wzdychali...

I dlatego Stefan Nikiforowicz za każdym razem, ilekroć żona powracała ze stacyi sama, powtarzał:

I niema co czekać!

Mówił to dosyć surowo, a potem szedł do ogrodu. Była tam stara, obrosła trawą łaźnia z jednem kwadratowem okienkiem. Starzec po cichutku zachodził do tej łaźni, zamykał się tam i płakał dowoli, jak maleńkie dziecko, dodając z rozpaczą:

— Byleby tylko żył, Boże! Tylko! Więcej nic nie potrzeba!...

Raz rano, kiedy Stefan Nikiforowicz był w biurze, a Marya Tymofiejewna krzątała się w kuchni, — pod domek podjechał, skrzypiąc rdzawemi skrzydłami, staromodny powóz. Marya Tymofiejewna popatrzyła w okno i upuściła z rąk ścierkę: koło powozu stał student, tęgi, wysoki, i czekał, kiedy woźnica podźwignie na plecy starą walizę. Student stał odwrócony plecyma do

okien, ale dla Maryi Tymofiejewny było dosyć starej walizy, żeby rzucić się na dwór.

— Kola! Kolusza! zawołała i śmiejąc się przez łzy rzuciła się ku młodzieńcowi i zaczęła całować go. Nie wierzyła wprost swoim oczom, że Kola powrócił, patrzyła mu w twarz i ciągle pytała:

— Czyś zdrów? Czyś zdrów?

— Ot tak sobie...

— A my wprost znękali się! Czego tylko nie przemyśleli! Przebaczyli ci? Boże!... Żyje!...

Młodzieniec, smukły, o chudej, nerwowej twarzy, odpowiadał smutnym uśmiechem, jakoś wstydliwie, jakgdyby czuł się nie swojo wobec tej zadyszanej staruszki i wobec jej nadmiernych pieszczot, od których dawno odzwyczaił się.

— Dajże mnie pakunek! Ja sama! Ot, kiedy nie oczekujesz... A ja każdego dnia chodzę naprzeciw ciebie... Wprost nie pojmujemy: co z tobą stało się?!...

— Nic nadzwyczajnego... Siedziałem trochę...

— W twierdzy?... I Pan Bóg wyprowadził?!... Ja modliłam się, Kola. Zupełnie przebaczyli?...

— Nie przebaczyli, lecz... przysłali do was za poręką... — wstydliwie uśmiechając się, powiedział student.

— A potem? Co zrobią z tobą?...

— Nic szczególnego... Za dwa lata znowu zapiszę się...

— Zobaczyłam raz studenta: przejeżdżał przez naszą stacyę, — zapytałam o ciebie, ale on nic nie wiedział o tobie...

— Gdzież wszystkich można znać! Nas wielu, mamo...

— Ty, napewno, chcesz jeść?... Jakiż ty mizerny! Ja zaraz!...

II.

Ot, i on w domu!

Wszystko po dawnemu. Czysto posprzątane maleńkie pokoiki; na oknach — firanki, pnące się kwiaty: gerania, winograd, bluszcz; na ścianie — znajomy zegar z podkową dla regularnego chodu; okrągły stół przed kanapą nakryty serwetą domowego wyrobu z deseniami, przypominającymi coś dalekiego, minionego... Zdaje się, że od samego urodzenia widział te wzory i to rdzawe piętno z wylanego atramentu! W ścianie pomiędzy oknami — gwoździk, a na nim wiszą starannie poukładane numera gazety »Świat.« Z okien widać szeroką kałużę i ulicę cichą, bezludną... Gęsi brodzą po kałuży z żółtemi puszystemi gąsiętami, a w pokrzywie pod chlewem spi, poruszając uszami, wieprz...

Mikołaj uśmiechnął się: zupełnie, jak gdyby dopiero wczoraj widział i te gęsi i tego wieprza!...

Błękitne, bezobłoczne niebo rozciągnęło się nad miasteczkiem, takie jasne, miłe i leniwe.

Jaskółki wysoko — wysoko szybują w powietrzu... Pies przeprawia się przez kałużę, wysunąwszy język, apatyczny, obojętny, opuściwszy ogon. A ot, idzie ktoś. Nie spieszy się — również: wzbija kurz butami, patrzy w ziemię i spluwa łupkę ziarn słonecznikowych. Chłopczyk o dużym brzuchu i bosych nogach, podpędzając się batożkiem, przebiegł przez ulicę siedząc na patyku, a drugi, pozostały u wrót, zapłakał. Widocznie, ów z dużym brzuchem, odebrał mu konika... Wróble hałasują w krzakach, kręcą się, dzióbią, zwijają krzykliwie, jak przekupki na jarmarku... Jeden wróbel wyskoczył na gałęź, około samego okna, i z ukosa z ostrożną ciekawością popatrzył na Mikołaja. Potem zaświegotał i odleciał, a w tej chwili przyleciały i usiadły na tę samą gałązkę dwa wróble... Na desce okna — talerz z trującym papierem, na którym narysowana jedna wielka mucha pośrodku i bardzo dużo małych — dookoła. Na tym papierze leży do góry nogami jedna prawdziwa mucha... Ojciec od wczesnej wiosny zaczyna wojnę z muchami. Lubi to zajęcie. Z pewnością i packa jest gdziekolwiek. Otóż i ona! na ścianie, zawsze na tem samem miejscu, gdzie wisiała kiedyś to dawno...

Mikołaj usiadł koło okna i zaczął patrzeć na ulicę, — a radość, jaka drgnęła w sercu młodzieńca w chwili, w której powóz z hałasem podjechał pod dom rodzicielski, nagle ściemniała,

zaszła mgłą i znikła. Mikołajowi zaczęło się nudzić. Na widok tej ulicy z bajurą, gęśmi i świnią koło chlewa, poczuł się osamotnionym w tych czyściutkich zacisznych pokojach ze »Światem,« obrusem i packą na muchy. Nikt tutaj nie ma pojęcia, ani nawet nie interesuje się tem, co dzieje się gdzieś tam, daleko, w większych miastach, gdzie życie kipi, jak woda w kotle nad ogniem, i gdzie zdawało się, że wszystko, co stało się tam w ciągu ostatnich miesięcy, pełne jest głębokiego sensu i znaczenia dla wszystkich ludzi bez wyjątku... Teraz u Mikołaja pojawiło się takie zdanie, jakoby były dwa życia, zupełnie odmienne, nie mające ze sobą niczego wspólnego i przeznaczone na wieczne niezrozumienie i rozdwojenie: jedno tam, skąd on przyjechał, a drugie tutaj, i życie tamto podobne jest do przeczytanej bajki, a to — codzienne, niedające się zmienić, jak prawo przyrody.

— Ty, przecie, Kola, lubisz ryby?

Mikołaj oglądnął się: matka, pełna zapobiegliwości i radości, stała w drzwiach z zakasanemi rękami.

— Ryby?... Ot tak... wszystko jedno...

— Więc usmażę ci rybki... Karasie w śmietanie!...

Mikołaj przypomniał sobie bajkę o »Złotej rybce,« przypomniał sobie, jak za powrotem do domu, starzec znalazł znowu stare, puste koryto,

Widocznie starzec doświadczał wówczas czegoś podobnego, co doświadcza teraz on, Mikołaj...

— A tymczasem idź przekąsić! Dawniej lubiłeś bardzo tę potrawę! — powiedziała matka, stawiając na stole szypiącą maszynkę. — Buntownicy wy jacyś! Dlaczego buntujecie się? czego chcecie?

Marya Tymofiejewna nie czekała na odpowiedź syna i, widocznie, nie interesowała się tem »czego oni chcą,« — kiedy w tej chwili wyszła do kuchni, gdzie potrzaskiwało na płomieniu smażące się masło... Potem przyniosła talerz, nałożony czubiasto chlebem i poradziła:

— Nie sprzeczaj się tylko, Koleńka, z ojcem: pogniewa się i przestanie. Ty zgadzaj się z nim, — on już stary, przeżył wiele, a ty dopiero na nogi wstajesz. Życie przeżyć — nie to samo, co pole przejść!...

— A ojciec kiedy przychodzi?

— Zawsze po dawnemu: o trzeciej.

— Gdzie teraz urzęduje?

— Zawsze tam, w opiece... I pensya ciągle ta sama... Nie podwyższyli! Ale i zato chwała Bogu: przecież on już stary, zupełnie pisać nie może: ręka mu się trzęsie...

— Trzęsie się? — trwożnie zapytał Mikołaj.

— Trzęsie się, Koleńka! Przecież pisałam ci: coś w rodzaju paraliża z nim było. Ot, zawsze spodziewaliśmy się, że... No, ale cóż?! Nie wróci się... Jedz, póki nie wystygło!...

Mikołaj jadł ledwo co, spoglądając od czasu do czasu na matkę i myślał o tem, że ona postarzała się bardzo w ciągu tych dwu lat, które on spędził w Kijowie: siwizna powiększyła się, a kąciki ust opuściły się, ręce niejakoś skostniały, a plecy zgięły się znacznie więcej.

Marya Tymofiejewna spoglądała z trwogą na zegar: czekała Stefana Nikiforowicza z biura i drżała z radości, bojaźni i niecierpliwości. Pragnęła, iżby Stefan Nikiforowicz czem prędzej ucieszył się przybyciem syna, ale obawiała się, iżby ojciec, gorączkując się, nie obraził syna, a syn nie powiedział czegokolwiek niepotrzebnego ojcu, — i Marya Tymofiejewna trzęsła się z radości i ze strachu, jak to wszystko wypadnie...

— Ojciec musi jeszcze dwie godziny siedzieć w biurze. Bardzo już tam u nich much wiele. Rozdrażniają one ojca i on zawsze przychodzi do domu gniewny — uprzedzała Marya Tymofiejewna.

Mikołaj irytował się również. Pragnął czem prędzej zobaczyć ojca i trwożył się, iżby spotkanie z nim nie zamgliło się wyrzutami. Przedewszystkiem, nie zrozumie on, zapewne, — jakby mu nie tłómaczyć, że inaczej nie można było postąpić. A rozmowa o tem nieunikniona. Mikołaj czuł się niewinnym, ale przecież bał się — i także spoglądał na zegar, którego wskazówka zwolna posuwała się ku trzeciej godzinie.

— Ojciec idzie!

Stąpając zwolna i poważnie po ścieżce Stefan Nikiforowicz zbliżał się do domu. Mikołaj poznał go z daleka po krokach, które były nadzwyczaj duże. Widocznie, Stefan Nikiforowicz uważał się w miasteczku rodzinnem za niemałoważną osobę. Ubrany był w szeroką pelerynę koloru stalowego, na głowie — czapka urzędowa z kokardą, w ręku — potężny parasol, a pod pachą — portfel.

— Co to niesie ojciec?...

— To portfel! — dobrotliwie zauważyła matka. — On zawsze nosi go z sobą. Niekiedy — próżny, ale nosi. I parasol również: chociaż deszczu niema — bierze... na każdy wypadek...

Gdy Stefan Nikiforowicz zrównał się z gęśmi i gęś, wyciągnąwszy poprzód siebie szyję, nastawiła się z jawnym zamiarem uszczypnięcia za nogę Stefana Nikiforowicza, — on przystanął, podniósł głowę do góry i pogroził palcem. Gęś bezzwłocznie opuściła szyję i, machając ogonem, powróciła do gęsiąt, Stefan Nikiforowicz zaś z całą powagą poszedł dalej, powiewając połami swojej szerokiej narzutki.

Mikołaj wyszedł za bramę.

Stefan Nikiforowicz nie spieszył się: wiedział już o przyjeździe Kolki: powiedziano mu o tem w biurze.

— A — a! raczył przyjechać! — rzekł, uśmiechnął się z lekka, ale nie przyspieszył kroku, idąc dalej z dawną powagą. Stefanowi Nikiforo-

wiczowi zdawało się, że byłoby niestosownem okazywać winnemu młokosowi tę radość, jaka wzbudziła się w sercu rodzicielskiem na widok całego i nieuszkodzonego Kolki, tego samego Kolki, którego co dopiero widział we śnie w niebezpiecznej sytuacyi: jakoby go zasądzono na śmierć przez rozstrzelanie i jakoby on przybieżał do domu pożegnać się, pomięszany, blady, ze spiekłemi ustami i niewiadomo dlaczego bosy...

— Jak się masz? ojcze!

— Jak się masz? synu!

Staruszek pocałował Kolkę dosyć chłodno, krząknął i zapytał:

— Dawno przyjechałeś?

— Dziś rano.

— Bardzo miło mnie, bardzo! — rzekł Stefan Nikiforowicz tym samym tonem, jakim witał gości.

Na ganek wybiegła Marya Tymofiejewna. Ona, jak zwyczajnie, przepuściła ważną chwilę: nie wizdiała, jak odbyło się spotkanie ojca z synem. Widząc, że idą w milczeniu, nie patrząc się na siebie, Marya Tymofiejewna zaczęła łagodzić sytuacyę:

— Chwała Bogu, ojcze: przyjechał przecież twój Kolka! I niepotrzebnie przestraszyłeś się wczorajszego snu: żyw i zdrów, a to — główne... Idźcie na obiad! Co, muchy tam ciebie, ojcze, zajadły?

— Stefan Nikiforowicz nie odpowiedział na pytanie o muchach: rozumiał wybornie, że muchy

tutaj więcej dla zamydlenia oczu. Siedli do obiadu. Ojciec jadł z powagą, jakgdyby odprawiał nabożeństwo, i z jakiemś zadowoleniem łamał chleb i opuszczał łyżkę w kapuśniak. Tylko z rzadka zadawał synowi krótkie zapytania:

— Wypuścili?

— Tak jest.

— Aresztantem zatem byłeś?

— Tak.

— Na porękę do rodziców więc?

— Tak.

Dopiero po kapuśniaku zaczął ojciec mówić szerzej:

— Cóż więc zamierzasz teraz począć?

— Potem wstąpię znowu.

— Od początku zatem. No, a jeżeli znowu wypędzą? To znowu z początku?

— No, już ty, ojcze! Ciągle z początku i z początku!... Da Bóg, kiedyś i koniec temu będzie... łagodziła Marya Tymofiejewna.

— Wszystko ma swój koniec, takie, Maryo Tymofiejewno, prawo przyrody! — chmurno odpowiedział Stefan Nikiforowicz, ocierając wąsy serwetką. — Kiedy bądź i na nas oboje przyjdzie koniec... Nażyliśmy się — umierać czas... A za cóż ciebie, braciszku, wypędzili?...

— Za udział w rozruchach.

— Tak. Szczególne! No, a za co zamknęli do więzienia?

— Tak. Właściwie mówiąc, sam nie wiem...

— »Tak«? Hm! Tak nic, braciszku, nie bywa... Co mamy, tego nie szanujemy, utraciwszy, płaczem! Ot, już po tobie żadną miarą nie spodziewałem się takich sztuczek!

— Sztuczek? Dziwne pojęcie! — zamruczał Mikołaj i zaczął czuchrać włosy na głowie.

— I jakżeż to? Ośm lat w gimnazyum płaciłem, korepetytora trzymałem, książki, zeszyty tam różne, surduciki i spodeńki... Liczyłem, że kiedyś wszystko to zostanie mi zwrócone, a okazuje się, — że na tamtym świecie, braciszku!...

— To już, ojcze, zbytecznie zacząłeś wyliczać, — wmięszała się Marya Tymofiejewna, widząc, że rozmowa przybiera ostry ton. — Wszyscy mają dzieci i wszyscy na nie wydają. Bez tego niepodobna przecież. Chłopiec nie winien, że potrzebuje surducika i spodeniek... Tak i niełądnie jakoś rachować! Grzech!...

— Ja to tak, przyszło na język... Jakie tam rachunki! — odkaszlując się odparł z zawstydzeniem Stefan Nikiforowicz. — Mnie z tobą niczego nie potrzeba. Nie długie życie przed nami, — wszystko jedno, nie możemy mieć tutaj najmniejszej korzyści. Ja to tak, przyszło na język... Tylko jednak przykro, żal!... Chciało się czem prędzej na nogi postawić, na ludzi wyprowadzić, choć jednem okiem zobaczyć, że uskuteczniło się to, a potem chociażby ledz na odpo-

czynek wieczny... No, cóż... widać, każdy jest swego szczęścia kowalem!...

— Szczęście szczęściu nie równe, — cicho, z chrypką w głosie wyrzekł Mikołaj. — Każdy pojmuje szczęście po swojemu i w tem całe nieszczęście... Dla innego cześć droższa od wszelkiego szczęścia...

— Wielka cześć, kiedy niema co jeść! — gniewnie, podwyższonym głosem odpowiedział Stefan Nikiforowicz i zaczął modlić się po obiedzie.

— Gdzież już nam zrozumieć? powiedział, skończywszy modlitwę, — my ludzie starzy, idący od życia... Do czego my przydatni? Zwalić nas prędzej do grobu, jak śmiecie — ot i wszystko!

Marya Tymofiejewna mrugnęła staremi oczyma na Stefana Nikiforowicza i dosadnie kiwnęła ręką.

— Ty, Kola, nie jadłeś nic... z rozmowami to waszemi! — wyrzekła.

— Dziękuję, odpowiedział Mikołaj.

— Niema za co, bracie! — z westchnieniem odparł ojciec.

Mikołaj wziął czapkę.

— A ty gdzie, Koleńka? — spytała z zaniepokojeniem matka.

— Pójdę przejść się...

Kiedy Mikołaj wyszedł na ganek, przez otwarte okna dochodził gniewny szept sprzeczających się staruszków: Marya Tymofiejewna mówiła, że niepotrzebną było taka gwałtowna napaść na chłopca, —

bądź co bądź jedyny to syn! Trzeba mieć współczucie dla dziecka! I on sam nie kontent... A Stefan Nikiforowicz zniżonym tonem powtarzał:

— I cóż szczególnego, mamo, powiedziałem? Co szczególniejszego?

III.

Mikołaj wyszedł za miasto. Pogwizdując smutnie, szedł powoli drogą, mimochodem zrywał z przydrożnych brzózek młode lepkie listki, miął je w ręce i myślał o czemś głęboko. Chwilami zatrzymywał się; obrzucał wzrokiem nieprzejrzane morze zieleniejącego zboża, siną dal równinną bez końca i znowu do duszy jego lała się rozpacz beznadziejna. Dokoła rozlewała się cisza niezmącona. Gdzieś pod nieboskłonem spiewał skowronek. Białe obłoczki wisiały nieruchomie w niedosięgalnej wysokości... W krzakach żałośnie kukała kukułka. Wszystko żyło swojem życiem i wszystko, czem on żył tam, w dużem mieście, co uważał za najważniejsze w życiu, tutaj wydawało się zwyczajnem i niemożliwem do zastosowania. Tutaj najważniejsze było zdrowie, i jeśli ze zdrowiem było się w porządku, to zadanie życia, zdaje się, było zupełnie rozwiązane. Trzeba było tylko patrzeć na ten błogi, spokojny obraz zieleniejących równin, zatapiać duszę w harmonii tych pól bez końca i niebios pogodnych i uspakajać się: niczego nie oczekiwać, jak niczego nie ocze-

kują te pola, to beztroskliwe niebo, te nieruchome białe obłoczki. Wszystko będzie mijać zima i lato, pola i łąki będą w swoim czasie zielenić się lub pokrywać się białym obrusem, będzie spiewać skowronek lub kraczeć wrona na suchej sośnie, będą skrzypieć po krętych drogach polnych włościańskie wozy, w poniedziałki na placu miejskim będą odbywać się targi, z krzykiem, skrzypieniem nieposmarowanych kół, z pijanymi chłopami i ślepymi żebrakami... I więcej nic nie będzie...

Raz zabłąkał się Mikołaj w nieznajomem miasteczku. Szedł — szedł i myślał, że idzie ciągle naprzód i że zaszedł bardzo daleko... I wtem, zupełnie dla siebie niespodziewanie, ujrzał, że przyszedł właśnie na to miejsce, ku temu skrzyżowaniu się ulic, skąd wyszedł. Teraz wydarzyło się coś podobnego: jakżeż daleką wydawała się ta niezamącona cisza! Mikołaj zaczął nawet zapominać o niej, — wyobrażając sobie, że odszedł od niej na zawsze. A ona teraz nagle powróciła i w milczeniu spogląda w oczy, mówiąc:

— No, cóż ty teraz, bracie, zamyślasz czynić?

Słońce zniża się... Kukułka w lesie kuka... Ileż tęsknoty w jej żałosnej pieśni! Ona jakgdyby skarżyła się na to, że wszystko dzieje się tak, jak działo się sto lat temu i że nie będzie niczego nowego na świecie...

»Będę chodzić nad rzekę, do lasu, po łąkach... będę polować« myślał Mikołaj, powracając do miasta...

Zachodzące słonko grało blaskami po szybach okien domków obywatelskich. Dzieci głośno, jak ptaki, szczebiotały swoimi głosami, rozochocone grą »w łapankę,« za wrotami na ławce siedzieli, łuszcząc ziarna słonecznikowe, starcy i baby, karmiące piersią niemowlęta. Szybko przeszedł przez drogę, wzniecając kurz zamaszystymi butami, właściciel składu mąki w długim surducie, z zasmarowanym brzuchem. Mikołaj wpatrywał się w fizyognomię ulicy i poznawał domy, zaułki, strumyki i ohydne błota, — zupełnie, jakgdyby widział je dopiero wczoraj...

— Moje uszanowanie!

Mikołaj popatrzył na zdejmującego czapkę młodzieńca w kamizelce i przypomniał sobie:

— Hawryło?

— Tak jest! Przypomnieliście sobie?

— Jakże nie przypomnieć!...

— Jakżeby nie! Przecież kiedyś bawiliśmy się razem, bili się kułakami.

— Jak ci się powodzi, Hawryło?

— Bogu dzięki! Żeby tak każdemu! Służę w traktyerni, w »Madrycie«! ośm rubli wraz z całem utrzymaniem! Jakże wy, Mikołaju Stefanowiczu, urządziliście sobie życie? Ukończyliście nauki, czy ciągle jeszcze uczycie się?...

— Nauki zastanowiono... na dwa lata...

— Dlaczegoż to? — zadziwił się Hawryło.

Mikołaj chciał początkowo opowiedzieć o przy-

czynic przerwy, ale spojrzawszy na głupkowato-zadowoloną twarz tęgiego parobka, nie opowiedział.

— Do widzenia, Hawryło!

— Bądźcie zdrowi, Mikołaju Stefanowiczu! Może zaglądniecie kiedy do nas? Piwa buteleczkę wypić, w kręgielki na bilardzie zagrać! Bądźcie łaskawi: do nas uczęszczają porządni goście.

Hawryło zdjął czapkę, uśmiechnął się całą gębą i dość familiarnie ukłonił się idącemu po drugiej stronie ulicy jegomościowi surdutowemu w czapce urzędniczej.

— To nasz kontrolor, Iwan Piotrowicz... Dobry pan! — zalecająco rzekł Hawryło i zakrzyczał przez ulicę:

— Należy się nam od was dług niewielki, Iwanie Piotrowiczu!

Mikołaj popatrzył na tego jegomościa uważniej i zapytał Hawryłę:

— Czy to nie Karjagin?

— Tak jest! Karjagin! — potwierdził z radością Hawryło.

Karjagin szedł po drewnianym skrzypiącym trotuarze tak leniwo i apatycznie, jakgdyby mu już dawno sprzykrzyło się chodzić i jeżeli teraz porusza nogami, to wyłącznie dlatego, ażeby nie upaść... Mikołaj znał tego Karjagina z czasów, kiedy był w szóstej klasie gimnazyalnej. Wówczas Karjagin był studentem, który przyjechał tutaj w lecie na lekcyę i był przedmiotem ogólnej uwagi i zawiści

całej młodzieży. Karjagin przedstawiał się wówczas Mikołajowi jako człowiek szczęśliwy, najmądrzejszy i najciekawszy w mieście. Dawał Mikołajowi książki i broszurki do czytania i mówił, że zamierza poświęcić się jakiejś świętej sprawie. Teraz Karjagin zarósł, chodził w czapce akcyzowego urzędnika, w surducie i spodniach uniformowych; roztył się i zrobił się podobnym do zwyczajnego dobrodusznego czynownika. Oczy jego patrzyły uprzejmie, wszystkie ruchy zaokrąglały się, plecy zrobiły się szersze i cała figura nabrała cech, właściwych człowiekowi sytemu, który nigdzie nie spieszy się, który, nakoniec znalazł się na swoim punkcie martwym, lubi dobrze zjeść, smacznie wyspać się po obiedzie, a potem przy wieczornej herbacie poczytać gazetkę i pogawędzić o konstytucyi...

— Iwanie Piotrowiczu!

Karjagin popa rzył i uśmiechnął się na przywitanie do Mikołaja, ale z chodnika nie zszedł, oczekując, kiedy młodzieniec podejdzie do niego: on przecież starszy...

— Przyjechaliście? zapytał Karjagin, podając Mikołajowi swoją miękką rękę.

— Przyjechałem.

— Nauka wam idzie?

— Co tam nauka! nie zeszliśmy się z nią... charak erami...

— Dlaczego?

— U nauki charakter spokojny, a u mnie...

— Swarliwy, jak u żony? — dokończył Iwan Piotrowicz i zaśmiał się dobrodusznie nad własną surowością...

Mikołaj wyjaśnił, w jaki sposób rozszedł się z nauką, ale nie znalazł echa ze strony Karjagina:

— Naprożno, ojczulku! Nic z tego nie będzie... Żal młodzieży... Co wy zrobicie z naszem społeczeństwem? To — idyoty, murzyni, mikrocefale! — piskliwie mówił Karjagin, — imby tylko żreć, pić i spać!...

Karjagin z zapałem oburzał się na społeczeństwo i dochodził do przekonania, że dla »takich świń nie warto ofiarowywać marnej podeszwy, a nie dopiero karyery.«

— Ja, ojczulku, również ofiarowałem nieco i teraz żałuję za grzechy... Moi koledzy — radcowie kollegialni, a ja zaledwie sekretarz gubernialny! Gorąco dzisiaj!...

Karjagin zdjął czapkę i pogłaskał się po gładkiej głowie. Potem powiedział Mikołajowi, że służy w urzędzie akcyzowym, w oddziale wódczanym, że w służbie akcyzowej jest dobrze i że monopol ma ogromną przyszłość przed sobą. Żegnając się, powiedział: »proszę mnie odwiedzić,« ale powiedział to takim tonem, w którym dźwięczało nie dopowiedziane: »a jeszcze lepiej, jeżeli pan mnie nie odwiedzi.«

— Ot czerwony dom!... coś jakby uniwer-

sytet! To nasz urząd monopolowy! — wyrzekł głośno Karjagin, wskazując palcem gdzieś przez ulicę. — Wszyscy tam będziemy! — powiedział brutalnie i znowu roześmiał się wesoło z własnej brutalności...

Rozeszli się...

Stado powracało z pastwiska: całe miasteczko coraz to więcej napełniało się dźwiękami: krowy ryczały różnymi głosami, beczały owce, cielęta krzyczały kontr-altem, a byk tętnił oktawą. W te głosy zwierzęce wpadały okrzyki kobiet, przeciągle i łaskawie zapraszających do domu »krase« i »pstre«; niekiedy długi batóg pastucha, jak żmija skręcony w powietrzu, strzelał jak pistolet, a gniewny głos krzyczał »a dalej przeklęta!« — »Którędy, którędy? czyś oślepła?« Nad chałupami wisiał złoty tuman...

IV.

Mijał za dniem dzień. Minął tydzień. Stefana Nikiforowicza wzywano na policyę i wzięto od niego jakiś rewers. Polecono nadto, ażeby Mikołaj również jawił się tam: »trzeba od niego wziąć również rewers.« Stefan Nikiforowicz był u isprawnika. Isprawnik był bardzo dobrym człowiekiem, szczycącym się tam, że dopatrywano się podobieństwa pomiędzy nim i jenerałem Dragomirowem. Isprawnik był chrzestnym ojcem Mikołaja: trzymał go do chrztu jeszcze wtedy, gdy był

stanowym prys'awem. O czem mówił isprawnik z Stefanem Nikiforowiczem, pozostało tajemnicą, — tylko od tej chwili ojciec zmiękł i od czasu do czasu powtarzał Mikołajowi:

— Przedewszystkiem: prowadź się porządnie... Dlaczego nie złożysz wizyty ojcu chrzestnemu?... To — niegrzecznie...

— Kiedybądź zajdę — mówił Mikołaj, ale nie udawał się ani do ojca chrzestnego, ani na policyę, dokąd wzywano go już kilkakrotnie. Mikołaj lubił samotność i czasami dzień cały włóczył się ze strzelbą nad rzeką, po łąkach lub po lesie...

Raz wieczorem powrócił z takiego spaceru. Starzy siedzieli w ogródku przy samowarze. Ojciec, popijając herbtę z cytryną, czytał »Świat,« a matka cerowała ojcowskie skarpetki. Twarz ojca była zachmurzona, niezadowolona, matki zaś — stroskana, nieco przestraszona. Widocznie, znowu mówili o Mikołaju i posprzeczeli się. Matka nalała szklankę herbaty i, podając ją Mikołajowi, zapytała delikatnie:

— Gdzie chodziłeś?

— Przechadzałem się — odrzekł Mikołaj i porzuciwszy czapkę, przysiadł się do stołu.

— Wspaniałe zajęcie! — burknął Stefan Nikiforowicz, nie odrywając oczu od »Świata.« Mikołaj oburzył się, ale tym razem powstrzymał się, jak powstrzymywał się bardzo często. Sie-

dzieli przy stole milcząc, i tylko Marya Tymofiejewna przerywała męczące milczenie urywanymi frazesami: »żeby bodaj deszczu nie było,« »na kolacyę zrobię«...

Po długiem milczeniu ojciec odłożył na bok gazetę i rzekł:

— Przyszło wezwanie z policyi! Mówiłem ci dziesięć razy: idź tam, idź! Doczekałem się! W jaką sytuacyę stawisz mnie?

Mikołaj zaczął mówić, że nic złego nie stało się, że wezwanie — rzecz powszednia, ale staruszek zapalił się i przerwał:

— Nie pouczaj! Sam rozumiem!... Na mnie i bez tego wszyscy pokazują palcami, a ty nie przestajesz żartować!... Dlaczego nie zajdziesz do chrzestnego ojca? Mnie wstyd, m n i e, twojemu ojcu!...

— Smacznego apetytu! — rozległ się drżący głos starczy.

W szparze zieloności, za sztachetami, sterczała głowa w słomkowym kapeluszu: był to poborca Ardalion Michajłowicz Samokwasow, druh od serca Stefana Nikiforowicza.

— Herbatką krzepicie się? — zagadnął słodkim głosem.

— Zajdźcie bliżej! — uprzejmie zawołała Marya Tymofiejewna, ucieszona z przybycia obcego człowieka, który, jej zdaniem, nadarzył się w samą porę.

Skrzypnęła furtka i do ogródku wszedł niski krępy staruszek w słomkowym kapeluszu, przypominający całą postawą, głosem i ruchami dziadzia z byle jakiego wodewilu. Przywitali się. Ojciec przedstawił Mikołaja:

— Nasz socyalista!

— Bardzo, bardzo mi przyjemnie, bardzo cieszę się! — powiedział, skłoniwszy głowę Ardalion Michajłowicz. — Miałem honor widzieć was już z daleka, a z bliska — pierwszy raz, po raz pierwszy!...

Podsycono samowar i zaczęto znowu pić herbatę. Nastąpiły zwyczajne zapytania, jakie zadawał Mikołajowi każdy przybyły w gościnę do staruszków.

— Na medycynie, powiadacie?

— Tak.

— Na dwa lata, powiadacie?

— Tak.

— Szkoda. Teraz zapewne żałujecie?

Na to pytanie zazwyczaj odpowiadał za Mikołaja ojciec:

— Oczywiście! Ale, jak to mówi się, łokieć bliski, więc nie ukąsisz!

— Szkoda. A z czegóż właściwie byliście niezadowoleni?

Mikołaj odpowiadał na takie pytania ludziom, którzy zapytywali o to z nieświadomości kompletnej:

— Ot tak... wogóle...

— Oni sami nie wiedzą! — odparł Stefan Nikiforowicz i dodał ze złością:

— Wybić — by dobrze, zacnie!

Między staruszkami zawiązała się rozmowa o niepokojach. Ardalion Michajłowicz roztaczał swoje poglądy polityczne. Ogromnie niecierpiał Anglię i był gotów widzieć na każdym kroku jej »podłe postępki.« I chociaż otwarcie nie powiedział, przecież mimochodem napomknął o możliwości udziału w zaburzeniach studenckich »wpływu zagranicznego.« To wydało się paradoksalnem nawet Stefanowi Nikiforowiczowi, który żywił dla poborcy wielki szacunek za jego »oczytanie.«

— To już, co się tyczy tego... wymysły — zauważył Stefan Nikiforowicz.

— Przez żydów! Przez żydów ona, podła działa! — cieniutkim głosikiem zakrzyczał Ardalion Michajłowicz.

— Aha! — przeciągle odpowiedział Stefan Nikiforowicz.

Następnie starzy zaczęli mówić o tem, jakby naprawić sprawę. Ardalion Michajłowicz także tę kwestyę rozstrzygnął bardzo prosto:

— A isprawnik? Chrzestny on ojciec, czy nie? Jemu trzeba tylko zachcieć... On — krewny jenerała Dragomirowa!

— Nie! On podobny tylko do niego, ale nie krewny!

— A ja wam mówię: krewny! Znam go doskonale... Niechaj zajdzie do isprawnika, poprosi ładnie... I tobie samemu, Stefanie Nikiforowiczu, trzebaby pójść...

— Chodziłem! Mówiłem mu sto razy: pójdź do ojca chrzestnego! Ale gdzie tam! Alboż on pójdzie prosić?... Dumy u niego więcej, niż u jenerała!

Zaczął się jeden ze zwyczajnych monologów, których tak obawiali się Mikołaj i Marya Tymofiejewna, dlatego, że podczas nich dawało się czuć coś niemożliwego i, zdawało się, że zaraz coś urwie się i nastąpi katastrofa rodzinna.

— Starym już!... Ręka mi się trzęsie! Popatrzcie! Popatrz i ty, bohaterze! — krzyknął Stefan Nikiforowicz i wyciągnął rękę, która drżała, jak w febrze. Ale bohatera nie było: on niepostrzeżenie wyszedł z ogródka na włóczęgę. Włoczył się do samej nocy i nie chciało się mu powracać do domu. Zauważywszy przez szparę światło w »Madrycie,« Mikołaj zastukał laską w okno. Drzwi otwarły się nieco, a z nich wyglądnęła senna fizyognomia Hawryły.

— Puść mnie, Hawryło!

— Z całą przyjemnością.

— Podaj mi piwa!

— Proszę bardzo.

Mikołaj siedział długo w «Madrycie« sam jeden przed butelką piwa i, podparłszy głowę

ręką, myślał o tem, co mu teraz wypadnie uczynić... Od myśli tych robiło mu się ciężko, to też po cichutku żałośnie wyciągał:

— »Ech! troska, bracia — towarzysze, zapadła w pierś głęboko«...

— Hawryło, daj jeszcze buteleczkę!

Pił, a myśli stroskane usuwały się na bok, ustępując drogi wspomnieniom pięknym. I wspomnienia te rosły ciągle i rosły, a ból w duszy ucichał. Znikło, poszło w zapomnienie miasteczko rodzinne. Mikołaj przestał słyszeć suchy trzask kul bilardowych w sąsiednim pokoju, przestał widzieć brudną podłogę i ściany traktyerni. Przed Mikołajem wstawał Kijów, błyszczący światłem elektrycznem, pełny ludzi, światła, szumu, śmiechu, muzyki, pieśni i nerwowych dzwonków...

Twarz Mikołaja rozjaśniła się, przez usta prześliznął się uśmiech, — i on zapytał drzemiącego za ladą Hawryłę:

— Ty nigdy nie byłeś w Kijowie?

— Nie zdarzyło się! — sennie odpowiedział Hawryło i po chwili namysłu z zapałem zapytał:

— Ileż tam tych traktyerni, piwiarni?!...

Mikołaj roześmiał się w głos i, machnąwszy ręką, wziął czapkę:

— Bierz za piwo!

Była noc księżycowa, cicha, zamyślona. Miasteczko, zalane całe światłem księżycowem, wydawało się jakiemś miniaturowem, jakby z zaba-

wki dziecinnej. Na dzwonnicy bił zegar a dźwięk dzwonu, melancholijny, tęskny, padał z góry i zwolna rozpływał się w srebrzystych promieniach światła księżycowego. Mikołaj szedł do domu, nie spiesząc się, — i kroki jego po chodnikach drewnianych dawały tęgi odgłos i rozlegały się po umarłej ulicy, Mikołaj szedł — szedł, potem zatrzymał się, popatrzył na niebo gwiaździste i nagle zanucił »marsyliankę.« Z pod bramy chrypliwym basem zaszczekał przeziębły pies, — i Mikołaj urwał spiew. Pies umilkł i znowu ucichło wszystko — a tylko kroki Mikołaja jakoś brutalnie niepokoiły bezbrzeżną ciszę zadumanej gwiaździstej nocy...

V.

Długo nie mógł Mikołaj usnąć tej nocy. Leżał w salonie na sofie i przypominał sobie wszystko, co działo się z nim w Kijowie. Jedno wspomnienie osobliwie jasno wstawało w jego duszy, trwożące smutkiem i radością... Raz, kiedy Mikołaj siedział w więzieniu i dni wydawały się mu, jak lata całe, kiedy długo, nieskończenie długo, widział tylko gołe, szare ściany swojej kaźni, kawałeczek podwórza więziennego, okolonego wysokim kamiennym murem, oraz skrawek sinego nieba wiosennego, kiedy uważał się za zapomnianego przez wszystkich, samotnego, pogrzebanego za życia w trumnie kamiennej, — drzwi celi otwarły się i dozorca powiedział:

— Na odwiedziny!

Powiedział i odszedł. Został tylko strażnik z szablą i rewolwerem.

— Proszę! — powiedział strażnik.

Mikołaj narzucił na plecy szynel, na tył głowy wsadził czapkę i poszedł krok w krok za strażnikiem. Szli długim mrocznym korytarzem obok symetrycznie rozmieszczonych drzwi, wiodących do cel, a Mikołaj myślał o tem, że miejsce to podobne jest do zwierzyńca: drzwi ponumerowane, a za każdemi drzwiami klatka ze zwierzęciem... Któż to mógł przyjść do Mikołaja? Czyżby przyjechała matka? To niemożliwe: dotychczas nie wie, że on siedzi w więzieniu. Który z kolegów? Nie. Koledzy albo również siedzą, albo zostali rozpędzeni.. a nawet nie puszczonoby kolegi!...

— Kto przyszedł? — zapytał Mikołaj strażnika.

Strażnik puścił Mikołaja przodem, sam zaś, idąc z tyłu, nie odzywał się ani słowem. Mikołaj powtórzył zapytanie:

— Nam nie wolno rozmawiać z wami.

— Być może — pomyłka? Nie do mnie?

Strażnik popatrzył wzrokiem dokoła i cicho powiedział:

— Narzeczona wasza!

...Narzeczona? Mikołaj przystanął na chwilę i westchnął głęboko. Serce ścisnęło się mu i zapragnął śmiać się na całe więzienie...

— Idźcie, idźcie!

Mikołaj wiedział, że tylko bardzo bliskie osoby bywają dopuszczane na odwiedziny, a z »obcych« tylko narzeczona może czasami zobaczyć się z narzeczonym. A zatem — on jest narzeczonym... Narzeczony! Jakże to dziwne, śmieszne słowo! Mikołaj szedł, uśmiechał się, oczy jego gorzały ze szczęścia i wzruszenia, a serce biło coraz silniej.

— Któż mógłby być moją narzeczoną? — myślał Mikołaj i prędko szedł przed strażnikiem, który pobrzękiwał za jego plecyma szablą i rewolwerem. Mikołaja wprowadzono do maleńkiego zakamarka; w zakamarku tym było jedno kwadratowe okno, wychodzące do mrocznego żółtego pokoju. W oknie tem nie było szyb! zamiast nich była podwójna miedziana przegródka, gęsta, podobna do sita. I przez to sito Mikołaj zobaczył pannę w ubraniu wiosennem, w słomianym kapeluszu z wasilkami.

— Jak się masz? — powiedziała ta panna i, uśmiechając się na powitanie do Mikołaja, pokiwała głową.

Koło panny stał wąsaty podoficer i, przestępując z nogi na nogę, melodyjnie podzwaniał ostrogami.

— Jak się masz? — odrzekł Mikołaj, i oboje wpatrzyli się w siebie.

— Nie rozpaczasz?

— Nie.

Mikołaj wpatrywał się w twarz panny i usiłował przypomnieć sobie, czy nie spotkał jej kiedykolwiek dawniej. Twarz panny była zasłonięta cienkim jasnym welonem, a gęsta krata pstrzyła go. Być może dlatego trudno mu poznać...

— Zdejm welonik! — poprosił Mikołaj.

— Owszem!

Podoficer podwoił baczność. Ilekroć panna poruszała rękoma, — brząkał ostrogami i kaszlał, dając w ten sposób znać, że wszystko widzi i słyszy. Panna podniosła welonik i w Mikołaju uderzyło żarem dwoje wesołych czarnych oczu. Ładna twarz! Mikołaj spuścił oczy... Nie! Nigdy przedtem nie widział jej!...

— Tyś napewne zapomniał już o swojej Hali!

— Nie, — odparł głucho Mikołaj i uśmiechnął się. Dziewczyna roześmiała się w głos; jej zęby błysnęły przez kratę i oczy stały się większe i dziwne... Podoficer zabrzęczał ostrogami i rzekł:

— Proszę zachowywać się ciszej!

— Masz tobie! Czyliż mnie nie wolno śmiać się? — zalotnie zapytała panna.

— Śmiać się głośno tutaj nie pozwala się.

— A płakać? Ty nigdy tutaj nie śmiejesz się? — zwróciła się do Mikołaja.

— Nie chce się tu ani śmiać się, ani płakać... Pomilczeli chwilkę, poczem Mikołaj zapytał:

— Zapewne pięknie teraz?

Hala zaczęła mówić szybko, z zapałem o tem, że wiosna przyszła, Dniepr rozlał się szeroko — szeroko, akacya puszcza pączki, gwiazdy zwiększyły się znacznie i świecą tak jasno, jakgdyby zbliżyły się ku ziemi, i wszystko coraz silniej pachnie kwiatami...

— Następnym razem przyniosę ci kwiaty... Lubisz fijołki?

— Postawię je u siebie w celi i będę wspominać... was! — wyrzekł drżącym głosem Mikołaj, popatrzył badawczo w twarz dziewczęcą i zarumienił się... Ładna twarzyczka!...

— Nie trap się! Będę przychodzić do ciebie w każdą sobotę.

Popatrzyli na siebie i zamilkli. A potem zegar wybił »drugą,« — i odwiedziny skończyły się.

— Proszę! — powiedział strażnik, otwierając drzwi zakamarku.

— Bądź zdrów! nie tęsknij! Gdziekolwiek byś był, pamiętaj, że masz przyjaciół! — głośno odezwała się Hala i wśród uśmiechów zaczęła kiwać do niego głową raz po razu... Mikołaj uśmiechnął się smutnie, skinął głową i poszedł za strażnikiem. Na rzęsach Mikołaja drżały łzy, a na duszy było tak dobrze, że chciało się rozpłakać z radości i ze szczęścia. I kiedy wszedł do swojej samotnej celi, a zasuwa żelazna zatrzasnęła się za jego plecyma, — w głos zaspiewał

pieśń chachłacką: »Będę do ciebie chodzić, będę kochać ciebie!«

— Spiewy tutaj nie dozwolone, — przemówił czyjś ostry głos. Głos ten przeniknął do celi przez otwór w drzwiach i zdawało się, że to drzwi przemówiły nagle ludzkim głosem. Mikołaj urwał pieśń i zapytał:

— A kochać tutaj pozwolono?

Odpowiedzi nie było.

Cały ten dzień Mikołaj był nadzwyczaj wesół i, zdawało się, nie chciał wiedzieć, że znajduje się w więzieniu. To półgłosem nucił piosenkę, to z głową podniesioną chodził, jak zwierz w klatce, po celi i wygrażał komuś kułakami, to, jak uczniak, podskakiwał na miejscu; próbował nawet tańczyć.

»Ot, popatrz tylko na niego! zupełnie, jakgdyby dziś obchodził imieniny:« — myślał dyżurny na korytarzu, zaglądając ukradkiem przez maleńki otwór.

Nastał wieczór. Była sobota. Zadzwoniły dzwony dalekich miejskich cerkwi. W miłem wiosennem powietrzu ta muzyka nawołujących się dzwonów dźwięczała smutkiem uroczystym, naprowadzając na duszę ciche rozmyślania i trwożąc smutne zapomniane wspomnienia dzieciństwa. Mikołaj ucichł, wesołość zniknęła i tęsknota polała się do duszy, taka cicha i słodka... Otworzył lufcik u okna i zaczął przysłuchiwać się dźwię-

kowi dzwonów i patrzeć na skrawek błękitnego nieba. Na ścianie więziennej grały różowe błyski zachodzącego słońca, a na błękicie niebios z rzadka zarysowywały się i ginęły sylwetki przelatujących gołębi: różowawe blaski obudzały w duszy tęsknotę, a przelatujące ptaki — szarpały serce, przypominając wolność...

Noc była ciepła, zupełnie wiosenna. Na skrawku sinego nieba jasno świeciła gwiazda i wydawało się, patrzyła wprost w okno celi. Skądś, zapewne z mieszkania dozorcy więziennego, nadlatywały przyniesione wietrzykiem tony urywane muzyki i gdzieś, zupełnie blisko, za ogrodzeniem więzienia, spiewał słowik... Tęsknota uciskała serce coraz to silniej i chciało się komukolwiek opowiedzieć o tej tęsknocie...

...Któż ona, ta miła Hala?...

Zachciało się pisać wiersze: Mikołaj wziął nadwęgloną zapałkę i zaczął nią gryzmolić na szarej ścianie:

»Jasno błyszczą gwiazdy na błękicie nieba,
Przez okno bije strugą zapach wiosny,
Nad ziemią zaśniętą rojem bezcielesnym
Unoszą się na skrzydłach Feje burz i sny.«

Zanucił słowik, doniósł się czyjś śmiech zalotny, pachła przez lufcik rozkwitająca akacya. Mikołaj z pospiechem starł rękawem surduta wszystko, co napisał, i, rzuciwszy się na łóżko, cicho zapłakał gorącemi łzami...

...Kim jest ona, ta kochana Hala?

Cały tydzień wyczekiwał Mikołaj soboty i wydawało się mu, że ta sobota nie przyjdzie nigdy. Teraz żył tą sobotą i myślał o niej od rana do nocy... Po nocach spał niespokojnie i, co chwilę budząc się, wspominał sobotę i liczył, wiele zostało się jeszcze dni oczekiwania. Wreszcie przyszła ta sobota. Dzień był pochmurny, niebo szare, mżył drobny deszczyk. Ale Mikołaj nie zauważył tego. Nieustannie w naprężeniu przysłuchiwał się każdemu stukowi, każdemu szmerowi za drzwiami celi. Przyniesiono obiad.

— A na odwiedziny?

Nie odpowiedziano mu. Nie tknął obiadu i ciągle czekał, czekał... Dzwonił, zapytywał dyżurnego na korytarzu: »jakżeż, na odwiedziny?« ale nie odpowiadano mu. Aresztanci pospolici zaspiewali chórem modlitwę przed kolacyą — widocznie nie przyjdzie... Po kolacyi dozorca, podczas kontroli zaglądnął do kaźni Mikołaja i podał mu zmiętoszony bukiet fijołków. Mikołaj drgnął, zarumienił się, niemal wyrwał kwiaty z rąk dozorcy i zapytał tonem pełnym zwątpienia:

— A odwiedziny?

Dozorca uśmiechnął się i wyszedł. A gdy drzwi celi zatrzasnęły się, Mikołaj usłyszał głos za drzwiami:

— Wszyscyście tutaj narzeczeni!...

Mikołaj patrzył na kwiaty i myślał o tem, że kwiaty te były w rękach Hali i dlatego fijołki

wydawały się jakiemiś nadzwyczajnemi... Mikołaj przypadał twarzą do ślicznych kwiatów i oddechał zapachem, od którego wiało wiosną i wolnością. On, jak dziecko, bawił się tymi kwiatami, starając się podsycać w nich życie. Ale kwiaty szybko więdły i bladły, — śmierć szła ku nim szybko i nie było sposobu wybawić je od niej. Kwiaty zginęły. Został tylko jeden fijołek, który Mikołaj położył do książki. Otwierając ją, Mikołaj wpatrywał się uporczywie w zaschły kwiatek i myślał: »któż jest ona, moja kochana Hala?«...

VI.

Mikołaja zbudził jakiś niezwykły szept. Szept ten, zdawało się, napełniał sobą cały maleńki domek i niepokoił cichy wiosenny ranek. Cóż to takiego? Mikołaj skupił uwagę, przysłuchał się i zauważył: to ojciec modli się. Szept to przycichał, to zwiększał się i wówczas stawał się jakimś gniewnym; od czasu do czasu było słychać, jak stukały stare kości nóg, zginanych do uklęknienia, i jak łysa głowa staruszka dotykała podłogi. Stefan Nikiforowicz modlił się o światłość wiekuistą i o zdrowie całego mnóstwa krewnych.

— I zbłąkanego syna ich, sługę Twojego, Mikołaja — z westchnieniem wyszeptał staruszek i, wstawszy z podłogi, zaczął oczyszczać ręką swoje spodnie.

— Wstawaj! masz pójść dzisiaj na policyę! — wypowiedział ostro, przechodząc mimo.

— Dobrze.

Nie »dobrze,« a czas wstać, umyć się, pomodlić się i iść na policyę!

Stary odsłonił story i otworzył okno do ogródka. Cudowny ranek wniósł do pokoju świeżość, zieloność, szczebiot ptasi, światło słoneczne. Było słychać, jak matka straszy w ogródku oblęgające ją kury i jak dzwoni naczyniami do herbaty. Gdzieś głucho gruchały gołębie i hałaśliwie darły się wróble. Mikołaj nie ruszał się. Zamknął oczy i starał się przypomnieć sobie sen. Coś pięknego, jasnego, jak ten wczesny poranek, od czego serce ściskało się i chciało się śmiać. Ach, tak! Przychodziła we śnie Hala w lekkiej białej sukni, w słomkowym kapeluszu z wasilkami i, schyliwszy się nad wezgłowiem, szeptała mu coś na ucho... Co ona szeptała? Zapomniał...

— Wstawaj! Masz pójść na policyę! — łagodnie powiedziała Marya Tymofiejewna przez otwarte okno. Mikołaj drgnął i myśli o Hali przelękły się i uleciały, jak ptaki, przestraszone przez staruszkę:

— Słyszysz? masz pójść na policyę!...

— Słyszę! — odpowiedział z rozdrażnieniem Mikołaj.

Od niejakiego czasu sam wyraz »policya« przyprawiał Mikołaja o podniecenie nerwowe; takiż sam wpływ wywierało teraz na Mikołaju również słowo »chrzestny ojciec,« które dziwnie

splotło się w głowie Mikołaja z »policyą.« Mikołaj ubierał się powoli, powoli mył się w miednicy, powoli czesał się, wydzierając bez litości z głowy upierające się włosy i wyszedł do ogródka w haniebnej rozterce duchowej. Pito herbatę w milczeniu. Matka podsuwała Mikołajowi śmietankę, wrzucała do szklanki bardzo wiele cukru, — na ogół okazywała mu szczególniejsze względy. Staruszka przywiązywała bardzo wielkie znaczenie do tego, że Mikołaj pójdzie zaraz na policyę; sprawa ta przedstawiała się jej ważną i trudną, przerażała i razem cieszyła, obudzając w duszy jakieś smutne nadzieje. »Daj ci Boże!« — mówiła w myślach staruszka i patrzyła na syna z taką miłością i litością, jakgdyby odprowadzała go na dokonanie jakiegoś niebezpiecznego przedsięwzięcia... Stefan Nikiforowicz nie patrzył na syna, marszczył się ponuro i pochrząkiwał; drobiąc szczypcami cukier, zbierał z serwety okruszyny na dłoń i sypał do szklanki. — i z tego powodu Mikołajowi było jakoś nietęgo z piciem i jedzeniem, jakgdyby mu kto milczkiem wypominał darmojadztwo.

— Nie zaszkodziłoby ostrzydz pejsy, z pomocnikiem prystawa będziesz mówić! I bądź łaskaw zachowywać się tam grzecznie i nie psuj tu moich stosunków z porządnymi ludźmi! — ostro powiedział staruszek, oddalając się do biura.

Po jego odejściu Marya Tymofiejewna zaczęła mówić głośniej, a Mikołajowi podwoił się apetyt.

— Gdzieś ty wczoraj bywał? — zapytała matka. — Czekaliśmy, czekali... Nie wiedzieliśmy, co o tem myśleć...

Bodaj dawaj znać na policyę!

Mikołaj poczerwieniał i przestał pić herbatę.

— Policya, policya... Na każdym kroku u was policya!... Herbaty nie dacie wypić bez policyi!...

— Jakżeż to, Koleńka? Niepokoiliśmy się: na porękę zostałeś nam oddany. Żeby z tego nie wynikły nieprzyjemności dla ojca...

— Dobrze! dobrze!

— Tobie nie wolno nigdzie wydalić się na długo: rewers od ojca wzięli...

— Nie ucieknę! Gdzieżby stąd można uciec!...

— Otóż to właśnie! A wieczorem po ciebie przysyłano od Karjagina... Listy są: sprawozdania jakieś...

Mikołaj milczał, a matka zaczęła znowu szczegółowo opowiadać o Karjaginie.

— Ukończył nauki, dostał dobre miejsce, znalazł pannę, ożenił się, — wszystko, jak się patrzy, — mówiła z westchnieniem i smutnie spoglądała na syna.

— Ja także znalazłem sobie narzeczoną! — rzekł Mikołaj z ironicznym uśmiechem.

— Co ona za jedna? zapytała z niedowierzaniem matka.

— Nie wiem...

— Masz tobie! Ze szlachty, czy z stanu kupieckiego?

— Nie wiem...

— A jak się nazywa?...

— Nie wiem...

Marya Tymofiejewna zaśmiała się.

— Dziewcząt to i wiele, wszystkie narzeczone... Ale teraz żadna nie wyjdzie za ciebie, Koleńka...

— Wyjdzie! Ona — wyjdzie...

— Czyliżby była jakaś desperatka... Eh ty! Ukończyłbyś nauki, dostał się na dobre miejsce, ożenił się z porządną panną... Szczęście swoje sam straciłeś, Koleńka! Nie gniewaj się, ja prawdę mówię. Żal mi ciebie! — żałośnie wyszeptała matka.

— Nie litujcie się!... U mnie własna prawda...

Gdy Mikołaj szedł na policyę, matka stała u furtki i żegnała krzyżem św. plecy syna. »Dajże ci, Boże!« — szeptała.

Na placu sobornym stał stary, pomalowany na zielono dom, nad którego dachem widniała wieżyczka; w szerokich sieniach tego domu siedzieli zawsze chłopi w łapciach i baby w chustkach, a pozy tych ludzi wyrażały ogrom cierpienia. Kiedy Mikołaj zobaczył ten wstrętny dom, — przypomniał się mu ojciec chrzestny, przypomniały się wszystkie monologi ojca, westchnienia i spojrzenia żałosne matki, i cały żal osamotnienia znów wstał przed młodzieńcem i, zdawało się, oparł się o ten stary żółty dom, do którego ze

wszech stron biegły ścieżki i który wydawał się Mikołajowi jakimś domem przeklętym ze strasznej, przeczytanej kiedyś w dzieciństwie bajki... Kiedy Mikołaj wchodził do sieni, siedzący tutaj włościanie, z szacunku dla błyszczących guzików munduru studenckiego, wstali, chłopi zdjęli czapki, baby zaś zaczęły kiwać głowami, dał się słyszeć płacz niemowlęcia przy piersi i przeciągła kołysanka: »a-a-a!,« ktoś wyszeptał »o, Boże miłościwy!« i w tym szepcie była cała bezdeń żalu i upokorzenia... W szerokich, półciemnych sieniach dawała się czuć woń pleśni i myszy; tu na podłodze siedziały baby, a koło nich kręcił się strażnik podkręcając zuchowato wąsa i żartując z młodemi kobietami... Mikołaj zapytał, na co czeka tyle ludzi, a parę głosów męskich i niewieścich z żalem i prośbą odpowiedziało mu:

— Na świadków nas wezwano!...

A w tych pospiesznych odpowiedziach jawnie zadźwięczała nadzieja: a nuż ten pan z błyszczącymi guzikami może cokolwiek uczynić dla strudzonych świadków.

Mikołaj poszedł na górę. W przedpokoju stał portyer, który zapytał: »kogo potrzeba?« Trzeba było zatrzymać się w poczekalni dla inteligentnej publiczności. Mikołaj siedział na żółtej kanapie i przysłuchiwał się głosom życia żółtego domu: dawało się słyszeć skrzypienie piór, z rzadka kroki na palcach, szepty, szelest papieru, —

a wszystko to wywoływało ociężałość, nudę i senność... Mikołajowi zdawało się, że życie uchodzi stopniowo z jego ciała, myśl mąci się, zanika możność mówienia i ruchu i że z nim dzieje się jakaś legendarna metamorfoza w jakiś martwy przedmiot.

— Proszę!

Mikołaj otworzył oczy: służący poruszał go za rękaw i wskazywał ręką na drzwi, przez które należało pójść. Mikołaj wstał, ale nie odrazu opamiętał się: w głowie tętnił jakiś dzwon, jedna noga zesztywniała i odmawiała posłuszeństwa...

— Zasiedzieliście nogę! — szeptem powielokaj, raz jeszcze wskazując na drzwi. Mikołaj wszedł do wielkiego szarego pokoju z kilkoma stołami, za którymi siedzieli szarzy ludzie i pisali. Jeden stół był lepszy od reszty i pan za tym stołem uważał siebie za ważniejszego od drugich. Widocznie — to sekretarz.

— Czy pan jest sekretarzem?

— Tak jest! — z dumą potaknął ów jegomość. — Bądźcie łaskawi! Proszę siadać... Wy — synalek Stefana Nikiforowicza.

— Syn.

— Bardzo mi przyjemnie. Na porękę, znaczy, do rodziców?... My ze Stefanem Nikiforowiczem jesteśmy wielkimi przyjaciółmi. Pozwoli pan papierosa?... Świadectwo zostanie u nas, a wy bądźcie łaskawi przeczytać te przepisy i dać nam rewers...

To tak, tylko pro forma... — uśmiechając się na usprawiedliwienie, mówił sekretarz.

Mikołaj przeczytał »przepisy«: zabrania się wyjeżdżać z miasta, zabrania się zajmować lekcyami, zabrania się należeć do rozmaitych stowarzyszeń, brać udział w przedstawieniach, zabrania się.... Było bardzo wiele paragrafów i każdy rozpoczynał się słowem: »zabrania się«...

— Wszystko to tylko na papierze straszne, a w życiu zdarza się z nami o wiele gorzej od tego! — jakby usprawiedliwiając się i uspakajając powiedział sekretarz i grzecznie podał Mikołajowi zamaczane w atramencie pióro. Mikołaj podpisał, sekretarz zaś w tej chwili przycisnął podpis bibułą i z westchnieniem ulgi powiedział:

— Otóż i wszystko!

Poza Mikołajem dawały się słyszeć szepty i, kiedy on oglądnął się, ujrzał, że wszyscy szarzy ludzie spoglądają na niego ciekawie zdziwionemi oczyma...

— Jeżeli nie mylę się, nasz isprawnik jest waszym chrzestnym ojcem?

— Tak, tak!

— Nie byliście u niego?

— Nie...

— Poproście ojca chrzestnego, żeby polecił nie posyłać do waszego mieszkania dozorcy... Lepiej sami będziecie do nas zachodzić raz na tydzień... Posiedzimy, pogawędzimy, zapalimy... Wszystko to tak, pro forma...

Mikołaj czuł, że na jego duszy osiada kopeć z tych szarych ścian, z szeptu, szelestu i z tych ludzi, na których twarzach zastygły usłużność razem ze złością. Było mu duszno i chciało się mu czem prędzej wyjść na świeże powietrze. Ale przyszedł jakiś wylizany jegomość w surducie z krótkimi rękawami i dał znać, że pomocnik isprawnika prosi studenta do swego gabinetu. Mikołaj gorączkował się: nieprzyjemnie uderzyło go słowo: »prosi.«

— Na co mu?

— Kazali... Nie wiem...

— Trzeba zajść... z westchnieniem wyszeptał sekretarz, — taki zwyczaj...

Mikołaj zapalił papierosa i poszedł buńczucznie za wylizanym jegomością... Szli długim korytarzem, w którym było znowu czuć myszy, a wylizany jegomość mówił:

— U nas bardzo wiele myszy... Zeszłego roku po zapustach myszy zjadły nam jedną bardzo ważną sprawę... Ręce zatłuszczone... Naleśniki, naturalnie... papiery pachły masłem... Wszystkie akta pojadły, została tylko okładka...

— Widocznie bywają u was bardzo smaczne sprawy! — dorzucił z ironią Mikołaj.

Weszli do większej sali, na środku której stał długi stół, pokryty czerwonem suknem, ze złotem lamowaniem.

— Sala konferencyjna! — tajemniczo wypo-

wiedział jwylizany egomość. — Trzeba rzucić papierosa...

— Zaraz dopalę...

Mikołaj zatrzymał się i ze wszech sił wciągał dym w płuca i wypuszczał przez nos, a wylizany jegomość powtarzał: »tutaj nie można, nie wypada,« — i rozpędzał obłoki tytoniowe chusteczką do nosa. Mikołaj rzucił niedopałek na podłogę; wylizany jegomość łapczywie podjął go i nie wiedząc, gdzieby go rzucić, schował wreszcie do kieszeni swojej kamizelki; następnie podszedł na palcach ku drzwiom, posłuchał, zamaszyście otworzył drzwi i powiedział uprzejmie:

— Oni przyszli.

— Proszę! — dał się słyszeć głos basowy za drzwiami.

— Bądźcie łaskawi! — uprzejmie poprosił wylizany człowiek, otworzył szerzej drzwi, ustępując się z drogi Mikołajowi.

Mikołaj wszedł. Pomocnik isprawnika siedział za biurkiem, zagłębiony w czytaniu. W milczeniu wskazał Mikołajowi krzesło, sam zaś nie przestawał czytać dalej, akompaniując czytaniu mruczeniem. Pomocnik isprawnika mruczał, a Mikołaj ze złością patrzył na niego i wstrzymywał się, żeby nie krzyknąć: »czego potrzebujecie odemnie?« Nakoniec mruczenie ustało, pomocnik isprawnika odłożył papiery na stronę, pogładził bokobrody i zapytał:

— Wyście synalek Stefana Nikiforowicza?

— Tak.

— Aj-aj-aj! — pomocnik isprawnika pokiwał głową. Coście wy tam narobili? — zapytał, poczem wstał, zamknął szczelnie drzwi i usiadł napowrót. Mikołaj patrzył na bok i milczał.

— Czego wy właściwie chcecie? hę? równości? Ależ to, młodzieńcze, niemożliwe!... bo wy jesteście chudym i cienkim, a ja grubym. Jeden człowiek zdolny jest z natury, a drugi głupi. Sama przyroda, młodzieńcze, sama nie chce, a wy...

— Ja niczego nie chcę.

— Muszę wam powiedzieć, że nie trzeba było słuchać buntowników, którzy bajdurzą o tej równości... Żadnej równości nigdy na świecie nie było, nie, i nie będzie, młodzieńcze... Ja bardzo lubię waszego ojca i mówię to wszystko wam, nie jako pomocnik isprawnika, lecz jako życzliwy wam człowiek, który żył długo i ma doświadczenie. Myślicie, że nigdy nie marzyłem o równości? Boże mój!... Wszyscy my, młodzieńcze, w swoim czasie marzymy i mylimy się... Ale następuje czas, w którym zdrowy rozsądek bierze górę... Wszystko można poprawić, wszystko można zagładzić... Teraz wy u nas na poręce i naturalnie...

— Wybaczcie, nie mam czasu...

Mikołaj wstał i wyszedł. Twarz jego była blada, bezkrwista i znużona; powieka lewego oka drgała i drżały smukłe ręce, a oczy błyszczały chłodnym blaskiem nienawiści...

VII.

Kwitł w ogródku powój — biały i liliowy. Wczesnym rankiem pod oknem gruchały gołębie, a wieczorami w lipach na ogrodzie spiewał słowik. Domek krył się zupełnie w zieloności: nawet na dachu, z pomiędzy nawpół zgniłych gontów, wyzierała trawa. Dnie stały się upalne i ciągnęło ku wodzie. Skoro tylko w domu zaczynali wyrzekać na los, na niedostatek, na trzęsącą się rękę i na to, że Mikołaj nie spełnił nadziei, brał strzelbę i szedł za rzekę. Na łąkach za rzeką były jeziora: takie głębokie, ciche i zadumane; w oprawie murawy i kamyczków jeziora te były podobne do wielkich zwierciadeł, odbijających błękit nieba i lekkie obłoki, — i tak dobrze było siedzieć tu samemu jednemu, słuchać, jak kamyczki opowiadają bajki, przysłuchiwać się temu, jak na duszy robi się coraz spokojniej, równiej, jak zacicha cała gorycz życia i zaczyna odbijać się, jak błękitne niebo w jeziorze, cicha radość i szczęście młodości... Czasami ciche rozmyślania przerywał kaczor, dumnie i pięknie trzymający sie na wodzie, nawołując kaczkę, podczas gdy zwolna opływał dokoła zielone kępy; można go było zastrzelić bardzo łatwo, ale Mikołaj nie imał się strzelby: wstrzymawszy oddech, cały zatapiał się w rozmyślania i wydawało mu się, iż zgłębia jakieś

tajemnice życia... Mikołaj zapominał o domu i o sobie samym, wolny od napomnień, skarg i rad, dawanych mu przez każdego, z kimkolwiek spotkał się w domu lub na ulicy.

Skargi zaś i wyrzuty stawały się coraz to częstsze i ostrzejsze. Matka wzdychała więcej, ale ojciec nie mógł przejść obok Mikołaja, żeby nie uczynić jakiejkolwiek dotkliwej dla młodzieńca uwagi. Jeżeli syn czytał w ogrodzie książkę, ojciec mówił: »i tak już naczytał się!« — jeżeli syn leżał na trawie bezczynnie, ojciec mówił: »miękko, wygodnie, syto, a najważniejsze — że nic się nie robi!« — jeżeli Mikołaj wychodził na długo z domu, starzec mówił o podejrzeniach, nad któremi należy równie litować się, jak nad rodzicami... Wszystko to Stefan Nikiforowicz mówił nie dlatego, żeby chciał obrazić lub dotknąć syna, tylko dlatego, że tego rodzaju uwagami miał nadzieję poprawić »biednego Kolkę,« miał nadzieję wpłynąć na jego »sposób myślenia,« jak zaczął wyrażać się Stefan Nikiforowicz po tem, gdy pomocnik isprawnika opowiedział mu o zachowaniu się Mikołaja podczas bytności w urzędzie... W każdej drobnostce znajdował teraz starzec zły sposób myślenia. Podejmując z podłogi rzucony przez Mikołaja niedopałek papierosa, mruczał:

— Gdziekolwiekbądź... Niczego nie uznajemy!...

Zauważywszy na nogach syna brunatne nosy dawno nieczyszczonych bucików, starzec wzdychał i mówił:

— Po cóż je czyścić? Przy naszym sposobie myślenia można chodzić nawet w chodakach...

Raz Stefan Nikiforowicz spotkał się na ulicy z isprawnikiem i zmięszał się. Teraz bał się spotkania z wszystkiemi ważniejszemi w mieście osobistościami: zdawało się mu, jakoby czemś zawinił wobec nich, jakoby popełnił coś ohydnego, czego żadna z tych osobistości nie spodziewała się po szlachcicu i tak poważnym urzędniku, mającym odznakę za trzydziestoletnią nienaganną służbę.

— Czemu nie zaglądniecie? — zapytał isprawnik.

— Wybieramy się... ale zawsze jakoś to nie składa się... odpowiedział, opuściwszy oczy w dół, Stefan Nikiforowicz i powoływał się na Maryę Tymofiejewnę, która rzekomo ciągle słabowała.

— No i pochrześnik mój niczego sobie! Nosa nie pokaże!...

Teraz dopiero zrobiło się Stefanowi Nikiforowiczowi całkiem niewyraźnie. To, istotnie, gruba niegrzeczność ze strony Mikołaja, któremu on tysiąc razy mówił, nalegał... Ot — doczekał się!...

— Wstydzi się.. Nabroił tam i chowa się teraz... Wstyd pokazać się na oczy! — pokiwawszy głową odpowiedział Stefan Nikiforowicz i jakoś głęboko westchnął.

— To nic nie znaczy... Błąd dla młodzieńca nie hańba! — powiedział isprawnik.

— A on wstydzi się... Myśli, że wyście bardzo niezadowoleni i, być może, nic życzycie sobie... Któż to może wiedzieć?... Z jednej strony — ojciec chrzestny, ale z drugiej — bądź co bądź, isprawnik...

Isprawnik roześmiał się dobrodusznie.

— Głupstwo! Co było, przeszło... Niechaj zaglądnie. Ja go posmucę, ale nie jako isprawnik, a jako chrzestny ojciec... Biednaż ta młodzież: zaledwie wąsiki zasieją się, a już zaraz zaczyna domagać się rzeczypospolitej!...

Isprawnik śmiał się i tęga jego figura cała drgała od tego dobrodusznego śmiechu. Stefan Nikiforowicz stracił zupełnie kontenans pod wrażeniem tej dobroci i łaskawości: u staruszka nawet łzy zabłysły w oczach i trzęsąca się ręka drgnęła z radości. Trzeba było wyzyskać sposobność.

— Wszyscy byliśmy młodzi, wszyscy popełniali głupstwa... On przecież w rzeczywistości dobry chłopiec, dobry, cichy, uważający, — a co się z nim nagle stało — tego zrozumieć nie mogę!...

Isprawnik potakując kiwał głową i dlatego starzec odważył się na prośbę: »czy nie możnaby w jakikolwiek sposób naprawić błędu młodości — powrócić do nauk?«

— Pożyjemy — zobaczymy, i nawet cokolwiek obmyślimy, — powiedział isprawnik, uścisnął trzęsącą się rękę staruszka, poczem rozstali się.

Stefan Nikiforowicz dwukrotnie oglądał się, patrzył na oddalającego się powoli isprawnika i mówił:

— Zachwycający człowiek!

Staruszek powracał do domu wesół, wywijał parasolem i poruszając bezzębnemi ustami, podspiewywał...

Podczas obiadu patrzył uprzejmie na syna, żartował z Maryą Tymofiejewną i nie wspominał ani razu o trzęsącej się ręce. Na trzecie danie były naleśniki z mlekiem. Starzec podsunąwszy pudełko z cukrem miałkim ku Mikołajowi, zażartował:

— Posólcie, panie socjalisto!...

A po obiedzie, pomodliwszy się z nadzwyczajnem nabożeństwem, założył obie ręce za plecy, chodził i znów podspiewywał.

— Co ty dziś tak rozspiewałeś się? — ze zdziwieniem zapytała Marya Tymofiejewna, ale staruszek, zamiast dać odpowiedź, zatrzymał się i, dyrygując trzęsącą się ręką przed samym nosem Maryi Tymofiejewny, spiewał dalej...

Marya Tymofiejewna rozweseliła się również. Przygotowała w ogródku herbatę na nowej serwecie, ze świeżem pieczywem i uwijała się w krzakach koło wypolerowanego samowaru. Siedli do herbaty — i Stefan Nikiforowicz odkrył nareszcie swoje karty:

— Panie socjalisto! Proszę tutaj! Jest coś pocieszającego... Trochę bliżej! Nie ukąszę ciebie!...

Mikołaj drgnął i pobladł. Niepojęty strach zawładnął młodzieńcem z powodu radosnego nastroju ojca i on usiadłszy na ławkę cały niejakoś skurczył się z przeczucia czegoś okropnego, co ma teraz nastąpić. Nastraszył się, przepełnił się samopoczuciem obrony i zamilkł, oczekując tego, co było nieuniknione:

— Mówiłem ci sto razy, że trzeba pójść do ojca chrzestnego...

— A zatem!... Znowu — ojciec chrzestny...

Staruszek opowiadał o swojem spotkaniu się z isprawnikiem, powtórzył całą rozmowę, przyczem mimowolnie i bez złego zamiaru przekręcił słowa isprawnika, który miał obiecać bezwarunkowo wyjednanie pozwolenia na powrót do nauki, jeżeli Mikołaj opamięta się i wyrzuci z głowy »socjalistyczne głupstwa«...

— Dziwny człowiek! — parę razy powtórzył Stefan Nikiforowicz i zakończył kategorycznie:

— W niedzielę idź na mszę, a stąd do ojca chrzestnego! Przedstaw się, jak należy, i wszystko będzie dobrze...

Mikołaj siedział, przypatrując się w milczeniu wzorowi obrusa, a ojciec mówił, że czas zostawić te głupstwa i zrozumieć, że »sama przyroda nie znosi tej głupiej równości i tym podobnych«...

— Głowa nie spadnie ci z karku, jeżeli jeszcze raz ukłonisz się!...

— Zdarza się, że spada także...

Starzec poczerwieniał ze złości. Popatrzył surowo na bladego Mikołaja i, rzuciwszy z brzękiem łyżeczkę, krzyknął:

— To znaczy, — żeś osioł! Zrozumiałeś?

— Tak.

— Bądź łaskaw zajść! Dałem słowo... Słyszysz?

— Nie pójdę... — odparł głucho Mikołaj i wstał.

— Co takiego?!...

Matka nie miała wyobrażenia, jak przerwać sprzeczkę. Patrzyła błagalnie na Stefana Nikiforowicza, ciągnęła go za rękaw i szeptała:

— Bój się Boga!

Mikołaj schwycił za czapkę i szybko wyszedł z ogródka. Skierował się nad rzekę. Tam siedział długo na spadzistym brzegu, bez ruchu, w milczeniu, i patrzył w dal. Usta jego drżały i składały się do uśmiechu, a w oczach mgliło się od łez... Powoli uchodził dzień letni za horyzont, perspektywy zaciągały się błękitną smugą zmroków i cichy wieczór patrzał ze smutnym uśmiechem na przyrodę przyblakłą. Cienie zaczęły pełzać pod górę i zgęszczały się tam, nad ciemno-zieloną wodą. Zadumała się rzeka i las i łąki, a tylko daleko, w zatoce rzecznej igrały na cichej wodzie ostatnie blaski różowego zachodu. Z ostępu coraz silniej dawała się odczuwać wilgoć, pachło gnijącem listowiem i gliną. Niebo zaciemniało się coraz więcej i fioletowe obłoki robiły się coraz

cięższe, coraz wyraźniej zarysowywały się i przyjmowały dziwaczne kształty potworów. Wokoło robiło się coraz ciszej, spokojniej i w ciszy tej było coś pieszczotliwego i zamyślonego. Z rzadka w siwych mrokach dawał się słyszeć samotny krzyk przelatującego kulika lub dzika kaczka, przertraszona czemś, ulatywała z zarzecznych jezior, trwożnie świszcząc w powietrzu silnemi skrzydłami... Ciepły wietrzyk ostrożnie, ukradkiem przylatywał ku brzozom, pod któremi siedział Mikołaj, i tajemniczy szept młodych listków mięszał się z ledwie doszłyszalnym szmerem strumyka, płynącego po gliniastym parowie...

Mikołaj patrzał, jak zwolna umierał letni wieczór i unosił się myślą daleko, za rzekę, za łąki, za siniejący we mgle las... Gdzie? Nie wiedział. Gdziebądź za Dniepr, w głuchy zakątek starego dworu z balkonami, z ponurym parkiem, z kapielą nad zielonym brzegiem... Tam w cichem wieczornem powietrzu rozlega się donośny głos dziewczyny czarnookiej i w gęstych zaroślach starego parku mignie powiewna sylwetka w białem ubraniu i w kapeluszu słomkowym z wasilkami...

Mikołaj siedział i myślał o Hali. Był szczęśliwy dlatego, że nikt nie przeszkadzał mu w myślach, a cicha zaśnięta rzeka i sinawe tumany dali, zdawało się, opowiadały o tym lubym kraju, w którym żyje czarnooka dziewczyna... I, myśląc o niej, Mikołaj ze słodką upajającą tęsknotą

z cicha nucił, patrząc za rzekę: »Szumią jodły na gór szczycie«... Dokoła było cicho i bezludnie, a pieśń dźwięczała w górze i, jakby skarżąc się komu, ulatywała z wietrzykiem za rzekę, gdzie przepadała, rozpływając się w sinych mrokach... Być może, i teraz Hala siedzi gdzieś na brzegu Dniepru, wspominając go... Mikołaj wpatrywał się tęsknym wzrokiem w sine mgły zarzeczne i jeszcze tęskniej dźwięczała jego pieśń:

»Oj, Halino, oj, jedyno,
Dziewczyno moja!«...

Wypłynął dwurogi księżyc, ręka zaiskrzyła się i srebrzysta mgła zakołysała się nad wodą. Polowi zapalili na łąkach stosy drzewa...

— Spiewacie w samotności?...

Mikołaj przerwał pieśń i zmięszał się, zupełnie jakby go przychwycono na miejscu jakiegokolwiek występku. Oglądnął się i zobaczył w półmroku figurę w słomianym kapeluszu z parasolem.

— Nie poznajecie?... Ardalion Michajłowicz Samokwasow, poborca tutejszy, przyjaciel waszego ojca!...

— A-a!...

— Cudowny wieczór!... Wspaniała pogoda!... Spiewajcie, spiewajcie!... Posłucham... Lubię spiew... dyrygowałem chórem cerkiewnym, ale teraz nie mogę...

Ardalion Michajłowicz zszedł z pagórka i z chrypką starczą usiadł na trawie obok Mikołaja.

— Chodziliście do ojca chrzestnego?...

Mikołaj skoczył na równe nogi, narzucił czapkę i odszedł.

— Idźcież wy wszyscy odemnie do dyabła! — powiedział ze łzami w głosie, nie oglądając się, i znikł za krzakami młodych brzóz...

— Oho-ho-ho! wykrzyknął dotknięty Ardalion Michajłowicz i patrzył długo za krzaki, za którymi znikł ten brutalny młodzieniec...

VIII.

Długo brodził Mikołaj nad brzegiem rzeki, a potem po przedmieściach miejskich. Noc była księżycowa. Żaby rechotały w błocie, gdzieś w oddali, i ktoś spiewał drżącym tenorem w polu smutną pieśń. Gdzieniegdzie po domkach migały światełka, ale wszędzie było cicho, zadziwiająco cicho, i zdawało się, że księżyc stanął myśląc, dlaczego taka cisza panuje?... Gdzieś na drugim końcu miasta szczekał pies, a jego głos rozlegał się w srebrzystych mrokach nocnych beztrosklíwie i głośno. Z rzadka dochodziły z dzwonnicy uderzenia dzwonu, długo pływały w powietrzu, dopędzając się nawzajem, jakgdyby nie chciały umilknąć... Z poza długich, nastroszonych gwoździami płotów wyglądały tajemniczo drzewa, jak gdyby chciały dowiedzieć się, co to za człowiek brodzi w nocy po głuchych zaułkach i czego mu potrzeba .. Spotkany stróż nocny, zauważywszy

Mikołaja, uderzył silniej w kołatkę, a trzask jej, odbijając się echem od parkanów, trwożył spokojną noc gwałtownymi, bijącymi w ucho stukami.

— Coś za jeden? — ostro zapytał, zrównawszy się z Mikołajem, ale w tej chwili roześmiał się i powiedział cicho:

— Nie poznałem was, panie... Nie możecie spać?...

— Tak...

— Nocka to śliczna, a wyście młody... Czyż to wam jednemu nie spi się!... Oh!-ho-ho!...

I stary poszedł dalej, przestępując z nogi na nogę. A daleko w polu, w drżącej srebrzystej mgle, płakała ciągle żałosna pieśń i żaby rechotały w błocie. Znowu z białej dzwonnicy zaczął rozlegać się głos wybijającego godziny dzwonu; Mikołaj zaczął liczyć, i, gdy ostatnie uderzenie zamarło w ciszy, skierował kroki swoje ku domowi. Po drodze zaglądnął w zacisznie oświetlone okno niewielkiego domku: za stołem siedział w samej tylko kamizelce mężczyzna i jadł z apetytem z głębokiego talerza kaszę hreczaną z masłem: otwierał szeroko usta, dając miejsce łyżce, a strzyżone krótko jego włosy poruszały się, ilekroć żuł kaszę. A naprzeciwko stała młoda, silna kobieta i oparłszy twarz na ręce, patrzyła z zadowoleniem, jak ten człowiek jadł kaszę z masłem.

— Pan Bóg nadarzył, nikt nie widział, — rzekł mężczyzna, położył łyżkę, wstał i wyciągnął się.

— A kto widział, nie obraził, — powiedziała kobieta, zabierając talerz.

Jegomość w kamizelce krząknął, przeciągnął się jeszcze raz i mocno ścisnął kobietę. Mikołaj uśmiechnął się i poszedł dalej... Ale im bliżej podchodził ku domkowi rodzicielskiemu, tem powolniejsze stawały się jego kroki: tam, w tym zacisznym domku z ogródkiem, gdzie minęły beztroskliwie lata dziecięce i gdzie go tak długo i tak bardzo lubiono, było mu teraz ciężko i duszno i nie chciało się tam powracać, jak gdyby za zieloną ścianką ogrodu stało teraz na straży coś strasznego i nieuniknionego....

Stefan Nikiforowicz siedział na ławeczce za bramą. Mikołaj nie zauważył odrazu ojca dlatego, że cień nachylonych nad nim krzaków zakrywał jego ciemną nieruchomą postać. Mikołaj wziął już za klamkę fur ki, kiedy starzec zakaszlał i zapytał go z chrypką w głosie:

— To ty, Mikołaju?

Mikołaj drgnął na takie niespodziane przywitanie, stracił wenę i zapytał:

— Siedzisz?

— A ty ciągle włóczysz się? Zaczekaj-no, mój kochany przyjacielu!

— No!

— A ty nie mów »no«... Byłem dzisiaj u isprawnika... Dziwny człowiek!... Chociażeś gbur, ale zawsze jego pochrześnik... Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem.

— Kazał ci napisać podanie, że ty to wszystko... z głupoty, że ciebie zbuntowali... Zrozumiałeś?

— Tak.

— Że ty żałujesz za wszystko i prosisz o przebaczenie tych wszystkich dureństw... Że nie będziesz nigdy... Słyszysz?

— Słyszę.

— A ja ze swojej strony napiszę podanie... Jestem stary, ręka mi się trzęsie... Trzydzieści pięć lat idę wiarą i prawdą... Słyszysz?

— Słyszę.

— I wszystko ułoży się... Isprawnik napisze ze swojej strony...

Mikołaj stał u furtki, jak skazany na śmierć. Tępo patrzył w ziemię, opuścił ręce i milczał, powtarzając »zrozumiałem« i »słyszę«. Komar żałośnie brzęczał, krążąc nad jego uchem, a ten żałosny pisk, przeciągły, nudny i uporczywy, odbijał się w mózgu Mikołaja, jak czyjś bez końca — długi żałosny jęk. Szczekał gdzieś pies. Gwiazdy płonęły jasno na łagodnem niebie, beztroskliwe i zimne. Dokoła było cicho, ogromnie cicho, jakgdyby noc wstrzymała oddech, słuchając, co dzieje się w duszy Mikołaja...

— Jutro pójdź i podziękuj!

Mikołaj milczał.

— I wszystko ułoży się... Powrócisz znowu do nauk.

— Nie pójdę nigdzie i o nic nie będę prosić! — z ciężkim oddechem, zaledwie dosłyszalnie, powiedział Mikołaj i odszedł.

— Dlaczego? zawołał starzec, wstał z ławki i poszedł w ślad za synem.

— Nie mogę...

— A żreć możesz?

— Zostawcie mnie w spokoju! — zakrzyczał dziko Mikołaj i, przyspieszywszy kroku, poszedł na ogród, do łaźni, dokąd przeniósł się parę dni temu.

— Ach, padlec, padlec! — wyszeptał starzec i, gdy skrzypnęła furtka, wiodąca do ogrodu, zawołał w głos:

— Padlec!

I ten krzyk rozbudził milczącą noc! drgnęła i donośnem echem powtórzyła: padlec!«...

Mikołaj wszedł do łaźni i zapalił ogarek świecy. Cienie pobiegły po podłodze, po czarnych zakopconych bierwionach ścian i pochowały się po kątach. Czerwony płomień świecy zakołysał się w mroku tego czarnego pokoju i świerszcz, mieszkający koło pieca, zaczął odzywać się... Było tutaj parno i woniało spalenizną. Na przewróconej do góry dnem kadzi leżały w nieporządku książki i zeszyty, jedno krzesło stało koło szerokiej ławki, a na jego poręczy wisiał mundur studencki. Mikołaj otworzył maleńkie okienko, długo chodził po czarnym pokoju, jak zwierz w klatce, poczem

uczuł nagle straszne znużenie w całem ciele, zgasił światło i, zwaliwszy się na ławkę, położył się do góry twarzą i zamarł, zakrywszy oczy pięściami. Kiedy ucichł, w okienko łaźni zaczęła patrzeć noc letnia; za ścianą w pokrzywie trzeszczał kowal, gdzieś dzwoniły dzwonki z początku coraz głośniej, a potem coraz ciszej... Ktoś jedzie gdzieś... Szczęśliwy!... Trzeba pojechać gdziekolwiek, bezwarunkowo pojechać, jak najprędzej pojechać!... Boże, jakiż on znużony!... okropnie znużony!... Świerszcz zaczął znowu odzywać się i jakieś szelesty dały się słyszeć pod oknem i popełzły do łaźni... Gdzieś zapiał kogut, bijąc tęgiemi skrzydłami... Co to takiego? Mikołaj z przestrachem oparł się na łokciu i zamarł z trwogi:

— Kto tu? — zapytał, chwytając za strzelbę.

— To ja, ja, Koleńko! ja, kochany! — przez łzy zaszeptał pod oknem głos starczy i w jasnej smudze otwartego okna zarysowała się głowa matki.

— To ty?

— Nie spisz? Gryziesz się? — z czułością bezgraniczną i litością wyszeptała staruszka i umilkła. I było słychać, jak ona płacze po cichutku, przytulona do szyby maleńkiego okienka. Mikołaj zbliżył się do matki.

— Przestańcie, na miły Bóg — wyszeptał błagalnie, wstrzymując dławiące gardło kurcze.

— Kochany ty mój! serce mnie zbolało przez ciebie, — nie mam siły nie płakać...

Mikołaj odszedł od okna i z twarzą utkniętą w kącie zapłakał łzami bezgranicznego żalu i rozpaczy... Matka po cichutku ukradkiem weszła do łaźni, opuściła swoją głowę na wstrząsające się plecy syna i także rozpłakała się... I długo stali oni tak i szlochali w ciemnym kącie; potem oboje ucichli, siedli na ławce i umilkli. Matka wzięła Mikołaja za rękę i nie wypuszczała jej ze swojej, a Mikołaj czuł, jak stare kości usiłują silniej uścisnąć jego rękę...

— Nie mogę .. u was... mieszkać... wyszeptał nakoniec nerwowo Mikołaj. — Muszę gdziekolwiekbądź... pojechać...

Staruszka przypadła do syna i zaczęła go głaskać po głowie. Głowa Mikołaja pokornie skłaniała się pod tą pieszczotą i jemu zdawało się, że staje się maleńkim, maleńkim, że jest znowu gimnazyalistą i że po dawnemu kocha matkę, ogromnie kocha i gotów dla niej oddać wszystko, nawet życie.

— Co począć... nie wiem... Nie mogę... Rozumiecie: nie mogę! — szeptał, przyciskając do suchych ust rękę matczyną. — Odjechałbym gdziebądź, uciekłbym...

— A ojca ci nie żal? On także teraz płacze. Myślisz, że jemu lekko?... Miej wzgląd na jego starość, usłuchaj, nie bądź dumny... Eh, wy!

Matka cicho i łaskawie mówiła o życiu, o starości, o śmierci, o sercu rodzicielskiem. Treść tego, co mówiła, nie docierała do świadomości Mikołaja, lecz kołysała go cicha pieszczotliwa pogwarka, w której było bardzo wiele miłości i pieszczoty...

— Napisz ty, o co on tam prosi...

Mikołaj przypomniał sobie i odmownie poruszył głową.

— Nie mogę... Rozumiesz: nie mogę!... Jeżeli mnie kochasz, nie proś o to... Ja gdziekolwiek pojadę...

— Gdzież, Koleńka? Tobie nie wolno nigdzie jechać... Przecież ojciec odpowie za ciebie...

— Tak, nie wolno... — krótko zgodził się Mikołaj i zamilkł...

Długo siedzieli, myśląc o czemś w milczeniu... Ciepła noc patrzyła na nich przez maleńkie okienko i słuchała, co dzieje się w duszach tych ukrytych w ciemności ludzi...

A w pokoju maleńkiego domku z ogródkiem świeciło czerwonawe światełko: tam, przed migocącym się w błyskach lampki obrazem leżał w prochu Stefan Nikiforowicz i modlił się gorąco do Boga o to, żeby On, wszechmocny uspokoił i natchnął rozumem zbłąkaną owieczkę...

IX.

Niebo było bez chmurki i, przesycone południowym słonecznym blaskiem, świeciło tak jasno, że nie sposób wzglądnąć na nie. Wróble kąpały się w pyle przydrożnym, a wrony siedziały na dachach, rozpuściwszy skrzydła. Miasteczko zaniemogło ze znoju, stojąc bezgłośne, senne i spokojne. Mieszkańcy pochowali się po swoich norach i nikt nie interesował się tem, co zdarzyło się w domku z ogródkiem... Przed bramą stał koń, zaprzężony do bryczki, i opuściwszy głowę, leniwie odganiał ogonem dokuczliwe muchy; chłop w surducie siedział na ławeczce i knutem, nie spiesząc się, wydłubywał błoto ze swego buta. Z otwartych okien domku dawał się słyszeć czyjś jęk, przeciągły i ciężki, i czyjeś głosy cicho rozmawiały w sieniach i czyjeś spieszne kroki stukały trwożnie... na chwilę ucichało wszystko, jakgdyby w domku nagle wszyscy posnęli, a potem znowu dawał się słyszeć jęk, zupełnie jakgdyby kto zatchnął się z cierpienia, i znowu dawały się słyszeć głosy, kroki, stuki...

— Kto przyjechał? — zapytał szeptem chłopa zasapany Ardalion Michajłowicz.

— Doktor!... Ilja Jefimycz...

Ardalion Michajłowicz odsapnął, złożył otwarty parasol i zaczął bojaźliwie zaglądać przez płot do ogródka... Pokiwał na kogoś palcem i odszedł,

ocierając chustką spotniałą twarz. Furtka otworzyła się, — wyglądnęła baba Anisya; twarz jej była straszna, zmięszana, i skoro tylko baba zobaczyła Ardaliona Michajłowicza, zaraz zamrugała oczyma i zaczęła płakać:

— No, cóż... u was?

Baba Anisya machnęła ręką i zakryła twarz fartuszkiem; ze szlochem oświadczyła, że teraz ratują starego pana:

— Podcięło go, całkiem podcięło!... Ani ręką, ani nogą... I nie mówi nic, tylko patrzy tak żałośnie... mówiła szlochając i wycierając nos w fartuszek. — Wstąpcie!...

— No, cóż tu?... nie pomożesz — westchnąwszy wyszeptał Ardalion Michajłowicz i siadł na ławeczkę.

Chłop wstał, uważając za niegrzeczne siedzieć razem z panem.

— A młodego nie widzieliście? — zapytała Anisya...

— Nie... Gdzież on?

— W łaźni leży... Ładny, jak żywy!... jakgdyby spał, serdeczny? — z żałosną pieszczotą powiedziała Anisya, zakryła oczy fartuszkiem i schowała się w sieniach... Szedł tu jeszcze jeden staruszek w niebieskich okularach i w czapce na głowie. Podszedł ku Ardaljonowi Michajłowiczowi, cicho zapytał go o coś i zaczął patrzeć przez zielony płot.

— Wstąpić, czy co... Jakoś nie wypada...

Ardalion Michajłowicz zaprzeczył ruchem głowy i obaj starzy odeszli zadumani po szerokiej zielonej murawie od domu z ogródkiem. Obaj otworzyli parasole i stali się podobni do dwu dużych oddalających się grzybów...

Koło starej, obrosłej pokrzywą łaźni skupiła się garstka bab i dzieci. Stali koło maleńkiego kwadratowego okienka bez szyby i zaglądali do środka strasznemi dużemi oczyma... Drzwi łaźni były opieczętowane, a na progu stał strażnik z miedzianą blachą na piersiach... Przez okno było widać nogi leżącego na ławce człowieka. Te nogi, ubrane w nowe, tylko co zrobione skarpetki, i jakoś dziwnie wyciągnięte wzdłuż ławki, przyciągały i straszyły ciekawe dzieci i kobiety, które trącały się nawzajem i szeptały:

— To jego nogi?

— Jego!

— Puść, cóż to!... Popatrzyłaś i wystarczy!...

— Będą krajać, dziadku?

— A jakże?

— O, Jezu Chryste!...

To leżał on ławce Mikołaj, taki spokojny, jakgdyby zasnął słodkim snem znużonego człowieka i nie chciał więcej wiedzieć, co mówią, robią i myślą ludzie żyjący...

Na podłodze, koło ławki, walała się notatka i niebieski zaschnięty fijołek...

X.

We wtorek chowano Mikołaja. Na cmentarz odprowadzało go całe maleńkie miasteczko z chórem cerkiewnym. Dzień był wesoły, jasny, powabny, toż dzwony dzwonnicy cerkiewnej smutnie i uroczyście rozlegały się w przezroczystem powietrzu poranka... Śpiewał chór, a kiedy umilkał, w ogrodach za parkanami, spiewało ptactwo... Trumna kołysała się nad tłumem i słońce igrało na okuciach oślepiającym blaskiem... Marya Tymofiejewna szła za trumną, ledwo dźwigając nogi: podtrzymywali ją z jednej strony ojciec chrzestny, z drugiej — jego pomocnik. Nie płakała. Wpiwszy się mętnemi oczyma w niesioną trumnę, szeptała coś i kiwała głową. Ardalion Michajłowicz szedł z chórem spiewaków i wyciągając wysokim, rozbitym tenorem »Święty Boże,« starym zwyczajem dyrygował ręką; twarz jego była smutna, poważna, i zdawało się, że dla Ardaliona Michajłowicza było ważne nie to, że chowają Mikołaja, lecz to, jak spiewają spiewacy soborni: czasami oglądał się gniewnie i dawał spiewakom jakieś znaki oczyma, ale oni patrzyli na swojego dyrygenta i nie zwracali uwagi na te znaki; — wówczas Ardalion Michajłowicz wzruszał ramionami i przestawał spiewać...

Wszystkie wykwitniejsze osobistości miejscowe starały się trzymać jak najbliżej isprawnika

i smutnemi oczyma spoglądały to na trumnę, to na Maryę Tymofiejewnę. Wszyscy żałowali Mikołaja i tę staruszkę.

Na cmentarzu wysunął się Karjagin i, zwiesiwszy nisko swoją starczą głowę, zaczął mowę pogrzebową. Mowa zaczynała się wierszami: »Nie szlochaj tak rozpacznie nad nim: szczęśliwy, kto umarł za młodu«... Skoro tylko Karjagin powiedział, że pięknie umrzeć za młodu, Marya Tymofiejewna zaszlochała i zaczęła wić się w rękach ojca chrzestnego i jego pomocnika. Ojciec chrzestny starał się uspokoić staruszkę: ze łzami w oczach łaskawie i bardzo żałośnie mówił, nachylając się ku Maryi Tymofiejewnie: — Cóż robić? Trzeba pogodzić się... Grzech płakać... Wszystko w rękach boskich...

A z drugiej strony nachylił się pomocnik ojca chrzestnego i szeptał:

— Pomrzemy wszyscy! wszyscy!...

Ale Marya Tymofiejewna nie słuchała; szlochała coraz więcej, coraz głośniej, tak że nie było słychać, co mówił Karjagin, kiwający rozpaczliwie w takt swoim żałosnym słowom...

— Co żeś ty, Kola, narobił? — zakrzyczała Marya Tymofiejewna, kiedy zaczęto spuszczać trumnę do grobu.

Isprawnik wyjął chustkę i zaczął ocierać nos. W oczach wszystkich, stojących dokoła grobu, zalśniły łzy... W zielonym cieniu brzóz, schylonych

nad grobem, śpiewały ptaki, a grudy gliny stukały głucho o wieko trumny...

Kiedy Mikołaja zasypano ziemią, wszyscy cicho, zadumani odeszli z cmentarza, który prędko opustoszał. Zostały tylko ptaki i Marya Tymofiejewna. Ptaki śpiewały, a Marya Tymofiejewna siedziała na gliniastym kurhanie, zarzuconym białym i liliowym powojem, spoglądała mętnemi oczyma w ziemię i szeptała z pogardą:

— Ech, wy! Ech! wy!...

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

625.-

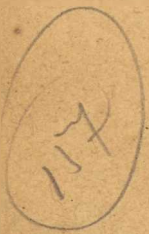

Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A29564

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki

VYDAWI

W. ZUK

Tania ed

płóciennej artystycznej okładce rysunku Dębickiej

Każdy tom oddzielnie do nabycia.

Najtańsza polska BIBLIOTECZK

dla dzieci i młodzie

ku rozrywce i nauce

otychczas przeszło 40 książeczek po 40, 50, 80 h. i po 1 k

Popularny polski ZBIÓR USTA

państwowych i krajowy

Dotychcza[illegible] przeszło 40 tomów.

[illegible]szczegółow[illegible]

[illegible]o nabyci[illegible]

1000174533